ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 46
14. XI. 1936

WSKRZESICIEL
POLSKI



według portretu
STEFANA NORBLINA
na wystawie w Tow. Zachęty
Sztuk Pięknych w Warszawie



ŚWIAT
REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXI. Nr. 46 14. XI. 1936

MARSZAŁEK ŚMIGŁY-RYDZ

Na Zamku Królewskim odbyła się w przeddzień Święta Niepodległości wielka uroczystość. Pan Prezydent Rzeczypospolitej przepasał generała Edwarda Śmigłego-Rydza wielką wstęgą orderu Orła Białego i wręczył buławę marszałkowską. Wódz armji otrzymał najwyższą godność wojskową.

Marszałek Śmigły - Rydz, Naczelny Wódz, przejechał ulicami Warszawy.

Dwa szpalery publiczności na całym dystansie Zamek — Belweder, tysiące ludzi w oknach i na balkonach powitały Marszałka radosnym okrzykiem „Niech żyje!".

Dziesiątki tysięcy, setki podchwyciło ten okrzyk w całej Polsce.

Wspaniałą puściznę przejął nowy Marszałek Polski.

Puściznę po Tym, co siłę zbrojną narodu organizował, tworzył, z mroków niebytu wykrzesał.

Puściznę po tych wszystkich, co ongi w Polsce hetmanili zastępom wojska polskiego, co granice zdobywali, ugruntowywali, co tych granic bronili. Puściznę po tych, co w okresie tragedji narodowej zrywami wolnościowemi tęsknotę do własnego państwa i niezależności dokumentowali.

Buława hetmanów, buława Pierwszego Wodza Odrodzonej Polski dziś w dłonie Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza została włożona.

Wielkie święto armji polskiej— to wielkie święto Narodu.

Społeczeństwo całe głęboko czuje, że rola i znaczenie generała Śmigłego-Rydza, że rola Marszałka przekracza ramy dowództwa wojskowego. Społeczeństwo rozumie, że w historji Narodu, któremu tak często brakowało wodzów, wodzów, których autorytet dominowałby w dniach pokoju i godzinach walki, spełnił się wielki moment.

Wódz bitny, dowódca znakomity, strategik wielkiej miary, człowiek którego męstwo, doświadczenie, talenty i szczęście wojenne nie opuszczały nigdy i towarzyszyły mu zawsze i nieodmiennie — stał się oficjalnie Wodzem Narodu i czasu spokojnego również.

Nietylko w godzinach walki i bojów, ale i w godzinach zmagań codziennych; w godzinach umacniania siły i piękna Polski; utrwalania zasad i praworządności obywatelskiej; w godzinach tryumfów i ofiar — buława marszałkowska w rękach Marszałka Śmigłego-Rydza ma dawać narodowi moc i wiarę.

Chwila przemówienia p. Prezydenta do Marszałka Śmigłego-Rydza.



UROCZYSTA CHWILA



Marszałek Śmigły-Rydz po otrzymaniu buławy z rąk Pana Prezydenta. W głębi widoczny z prawej strony kardynał Kakowski, obok marszałek Sejmu Car.

Zdjęcia Jan Ryś.



Marszałek Śmigły-Rydz w drodze powrotnej z Zamku.



Ogólny widok uroczystości na dziedzińcu Zamkowym w Warszawie. Pan Prezydent przemawia do Marszałka Śmigłego-Rydza.

Ż. NORBLIN-CHRZANOWSKA.

DWA OBLICZA FR. KOSTRZEWSKIEGO



Franciszek Kostrzewski w roku 1902. (rys. A. Kamieński)

Jeżeli zapytamy przeciętnego miłośnika sztuki w Polsce: „Kto to był Kostrzewski?“ — otrzymamy niewątpliwie odpowiedź: „To przecież każde dziecko wie! Kostrzewski to był najpopularniejszy rysownik warszawski, Kostrzewski przez lat kilkadziesiąt zamieszczał w warszawskich czasopismach swoje dowcipy i rysunki. Kostrzewski był satyrykiem Warszawy i wsi polskiej“.

To wszystko byłoby prawdą. Ale nie całą prawdą. Bo Kostrzewski był pozatem świetnym malarzem — o czem szeroki ogół wcale dotąd nie wiedział.

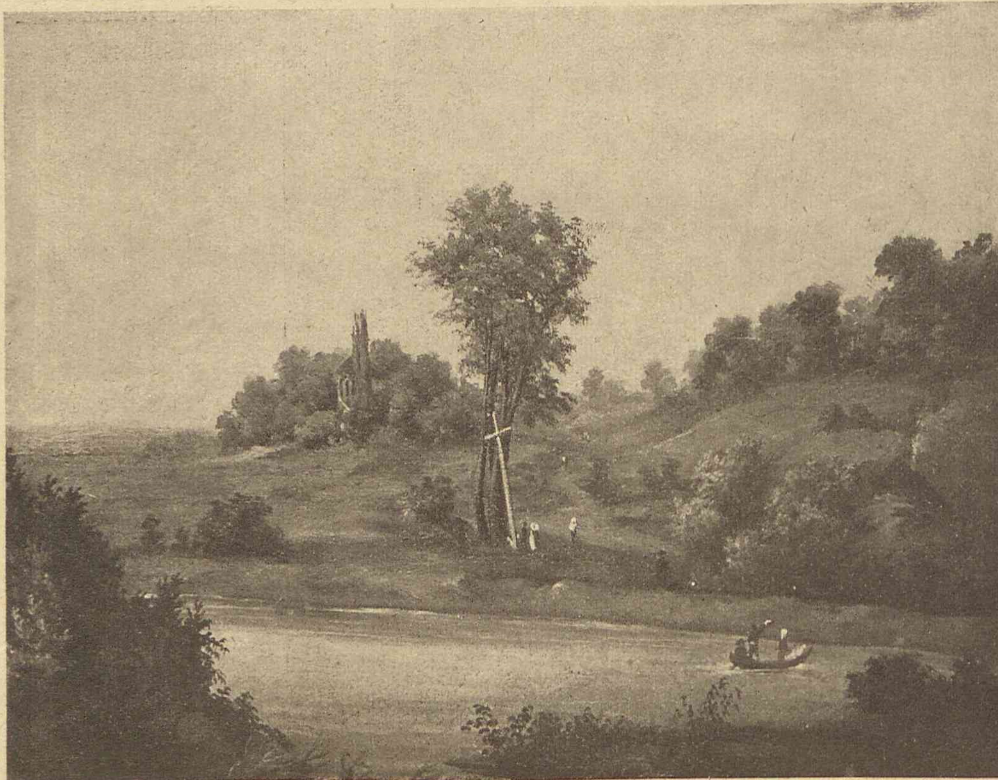
Nie wiedział — doniedawna. Bo urządzona obecnie, w ćwierćwiecze jego śmierci, wystawa w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie ujawniła w całej pełni tego drugiego, nieznanego Franciszka Kostrzewskiego: doskonałego, dużej miary malarza.

Cztery sale Zachęty zapełniono dziełami Kostrzewskiego. Trafny wybór tych dzieł i przejrzyste ich ugrupowanie pozwalają zorjentować się dokładnie w wartości tego niedocenionego artysty.

Kostrzewski urodził się przeszło sto lat temu — w roku 1826. Żył lat 85. I ci z pośród nas, których dzieciństwo przypadało na pierwsze lata wieku XX-go doskonale pamiętają rzeźką postać popularnego we wszystkich sferach stolicy „Pana Franciszka“.

Malował ten artysta przez lat przeszło 60. A ściślej: malował przeważnie w pierwszej połowie swej działalności. W drugiej, po roku 1880, obrazy olejne stają się wśród jego prac coraz rzadsze, akwarele jeszcze dość liczne, ale już zaczynają przeważać rysunki, które imię jego rozsławiły po całej Polsce. Jak często bywa — cenniejsza jego twórczość pozostała mniej znana. Natomiast sławę i popularność zdobył właśnie przez swe prace artystycznie niższe, ale zato ogółowi dostępniejsze, łatwiejsze do zrozumienia, no i — zabawniejsze. Kostrzewski w czasach dla Warszawy i Królestwa najsmutniejszych dostarczał rodakom beztroskiej rozrywki przez swe rysunki i dowcipy, hojnie rozsiane po wydawnictwach ówczesnej doby.

Zajmijmy się jednak tym pierwszym Kostrzewskim — tym

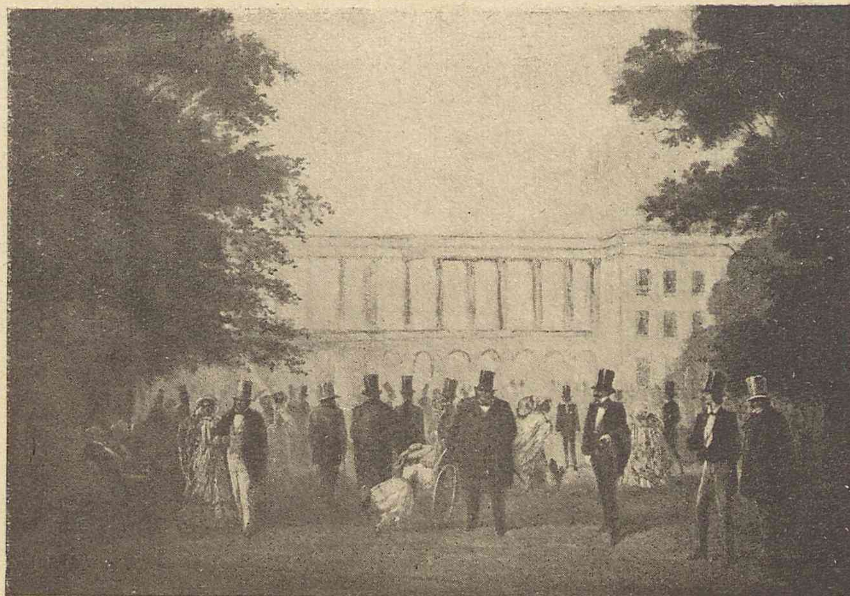


Fr. Kostrzewski Pejzaż (ol.) (wł. p. Z. Bandtkie-Stężyńska).

nieznanym, a godnym poznania. Wielka sala Zachęty szczelnie jest zapełniona obrazami olejnymi jego pendzla. Wszystkie te dzieła świadczą nietylko o wybitnym talencie artysty, ale i o jego niepowszedniej wiedzy malarskiej. Niektóre zaś postawić można śmiało obok holenderskich „małych mistrzów", tak są żywe w ujęciu, dokładne w opracowaniu i interesujące w swych zaletach czysto malarskich.

Najdawniejszym obrazem, jaki znalazł się na tej ciekawej wystawie jest malowany w roku 1853 „Ogród Saski". Arysta miał wówczas lat 27, i od trzech lat posiadał dyplom z ukończenia warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. (Studjował w niej przez cztery lata, ku strapieniu ojca, zacnego urzędnika, marzącego dla syna o karjerze biurowej.) Wiedza malarska, którą Kostrzewski wyniósł ze szkoły, musiała być solidna, a talent artysty i praca jeszcze ją pogłębiły. Obraz o którym wspominam, jest tego najwymowniejszym dowodem. Jest to dzieło poprostu czarujące, w którem niewiadomo co bardziej podziwiać: lekkość techniki malarskiej, żywe dotknięcia pendzla, harmonijną kompozycję, czy pełną humoru charakterystykę figur.

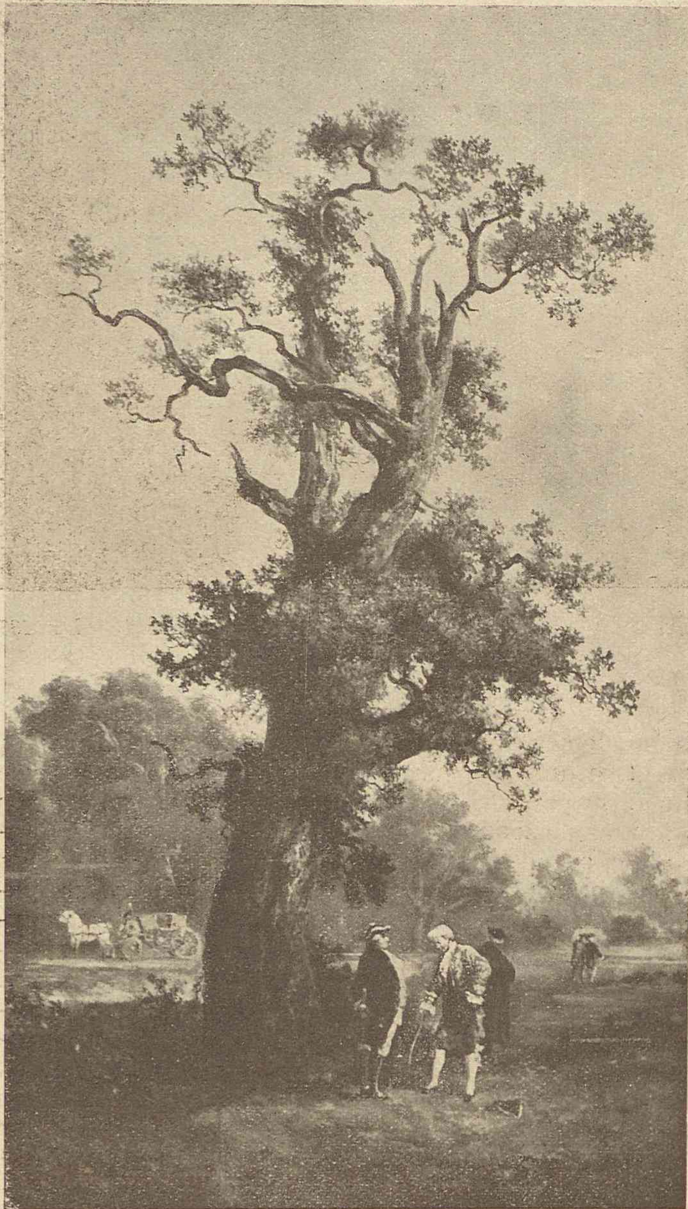
Oto jesteśmy w „salonie Warszawy" z połowy wieku XIX. Tak wówczas zwano Ogród Saski — i słusznie. Był on bowiem miejscem spotkań najwytworniejszego towarzystwa stołecznego. Widzimy w głębi lekko zaznaczoną kolumnadę oddzielającą ogród od placu Saskiego. Po bokach — na kształt kulis teatralnych — zamyka scenę zieleń drzew. Na pierwszym planie mnóstwo osób, przechadzających się po ogrodzie. Są tam strojne damy, uroczyście kroczące w sutych, falbaniastych krynolinach, są panowie — wszyscy w cylindrach — groteskowo wykrygowani, jedni komiczni przez swą okrągłość kształtów, inni przez pająkowatą chudość. Jakiś rozkapryszony piesek najwidoczniej molestuje swoją właścicielkę o łakocie. Miedzy osobami dorosłemi biega beztrosko mała dziewczynka, pędząc przed sobą kółko. Jest oczywiście ubrana w odstającą krynolinę, długą prawie do kostek, a z pod sukienki widać przezabawne bufiaste majteczki z falbanami, które jej sięgają do stóp. Każdy szczegół tego obrazu — to jakaś cecha żywej Warszawy z przed lat osiemdziesięciu. Jest to nietylko znakomite dzieło sztu-



Fr. Kostrzewski *„Ogród Saski" (ol. r. 1853).*
(wł. p. A. Tallen - Wilczewski)



Fr. Kostrzewski. *„Odpust na wsi"* *(ol. r. 1866).* (wł. Zbiory Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie).



Fr. Kostrzewski *„Pojedynek"* *(ol. r. 1876)*
(wł. p. J. Iwaszkiewicz)

ki — najlepszy może obraz, jaki Kostrzewski namalował — ale i niezrównany, pełen finezji dokument epoki.

Inne dzieła artysty z tych czasów odtwarzają raczej życie polskiej wsi, które Kostrzewski ze swych licznych wędrówek po kraju znał doskonale. Rzeczą znamienną jest to, że początkowo główne zainteresowanie artysty szło w stronę *krajobrazu* wiejskiego — a figury ludzkie były tylko jego uzupełnieniem, drobniutkie i zgubione w całości. Z biegiem lat właściwa Kostrzewskiemu namiętność obserwowania żywego człowieka — bierze górę. Postać ludzka w jego obrazach zaczyna odgrywać rolę coraz ważniejszą, sceny z życia stają się coraz żywsze, kompozycja coraz bogatsza w świetnie zgrupowane figury ludzkie.

„Pożar miasteczka" malowany w roku 1868 — gdy artysta miał lat 42 — jest niezwykle charakterystycznym przykładem tej fazy twórczości Kostrzewskiego. Mnóstwo postaci w ruchu — a wszystkie rozmieszczone doskonale, skomponowane w malownicze grupy — a jakże przytem żywe! Widzimy, jak trzech żydków dźwiga wielką drabinę. Inni już przystawili jakąś koślawą drabinkę do płonącego domu. Przez okna i drzwi mieszkańcy wyrzucają swe ubogie graty na ulicę. Kobiety z tobołkami na plecach uciekają z miejsca nieszczęścia, dzieci czepiają się ich spódnic, a psy plączą się między niemi. W innej grupie kobieta ruchem patetycznym wznosi ręce ku niebu, inna gestem rozpaczy wyrywa sobie włosy z głowy. W tej scenie dramatycznej nie brak i akcentów humoru — tak właśnie, jak w życiu... Obok paniki — jest i groteska, a scenki komiczne bezpośrednio sąsiadują z groźnym żywiołem ognia. Oto na pierwszym planie oszalała krowa wyrywa się z rąk właściciela, a mały, kudłaty piesek ujada na nią zawzięcie. Opodal — w ostatniej chwili, jak to zwykle u nas — reperuje się nagwałt dziurawą beczkę, a dwaj ludzie zajęci tą najważniejszą czynnością spieszą się nie na żarty. Ślepy grajek z małym chłopcem przewodnikiem odchodzi obojętnie: on przecież wie, że nic tu w tej chwili nie zarobi. Jakaś babina wywróciła się wszystkiemi spódnicami do góry, inna zgubiła całą szufladę, z której posypały się jej nędzne skarby. Nieco w głębi malec ciągnie oporną kozę, a zdaleka nadjeżdża zbawienie: cała, bez dziur, pomocnicza beczka z wodą! Dramat i farsa w jednym obrazie, odtwarzającym z niesłychaną plastyką widowisko tak u nas częste, niestety — pożar miasteczka.

Inne dzieło Kostrzewskiego z tej samej epoki i w tym samym duchu poczęte — to „Rynek w miasteczku". Spokojne letnie południe. Odbywa się targ — taki mały, biedny handel małomiasteczkowy. Wozy, konie, baby, chłopi, dzieci, psy, kłębią się — ale nastrój jest spokojny, nie jak w owej scenie pożaru. Na przestrzeni niecałego metra kwadratowego artysta po mistrzowsku rozmieścił przeszło sto postaci ludzkich (nie licząc ponadto inwentarza żywego i martwego!). A kompozycja jest niestłoczona, całość po holendersku doskonale rozplanowana, obraz malowany świetnie, skąpany w złocistym blasku letniego słońca.

Bardzo piękny jest z tego samego okresu „Odpust na wsi", stanowiący własność zbiorów Zachęty w Warszawie — pogodny, sielski, tchnący spokojem.

Późniejsze o lat kilkanaście „Polowanie u Radziwiłła", malowane gdy Kostrzewski miał już lat około sześćdziesięciu — to jeszcze jeden dowód, jak poczesne miejsce mógł zająć w sztuce polskiej ten artysta, gdy-



Fr. Kostrzewski „Cyganka wróżąca" (ol. r. 1869)
(wł. Zbiory Tow. Zachęty S. P.)

ski chłopak bezskutecznie je usiłuje poskromić. Łowczy stoi z boku, wsparty na strzelbie, a stary sługa wnosi do leśniczówki dwa dobrze zaopatrzone kosze, pełne butelek. Z prawej strony obrazu na ganku tymczasem już „odchodzi" flircik panicza z hożą dziewczyną wiejską. Z lewej— inna grupka myśliwych ogląda broń z fachowem zainteresowaniem. Z boku, całkiem oddzielnie stoi sobie pokornie żydek handlarz i z podziwem przygląda się jaśnie państwu. A nuż się coś uda zarobić?

Cały obraz kipi życiem. Jak w dobrze wyreżyserowanej scenie teatralnej — niema tam miejsc „obojętnych". Żadna figura nie próżnuje. A każda ma akcję i ruch właściwy.

Już to przyznać trzeba, że ekspresję ruchu opanował Kostrzewski znakomicie. Postacie jego nie są zdawkowe. Artysta patrzy na ludzi oczami uważnemi, oczami które widzą i piękno i śmieszność, i przepych i nędzę. Dlatego nie należy się obawiać użycia tu określenia, które wydać się może przesadą: obrazy Kostrzewskiego mają w sobie poezję. Malował je człowiek, wrażliwy nietylko na kolor i światło i kształt.

by potrafił nie rozmieniać swej sztuki na drobne. Patrzymy znów na taką swojską, znaną scenkę z życia wiejskiego: polowanie. Przed leśniczówkę zajechała bryczka — wysiada z niej starszy pan, myśliwy widać możny i znaczny, bo pospieszono przystawić mu stołek, aby wygodniej zlazł z bryczki. Stary siwy sługa gnie się w ukłonie, dziewczyna przytrzymuje stołek, aby się nie przechylił, a młody pan który już z bryczki wyskoczył, podaje staremu rękę. W rozproszonych grupkach rozprawiają sobie zebrani już myśliwi. Jedni gawędzą, podczas gdy ich psy wściekle rzucają się na siebie, a mały wiej-



Fr. Kostrzewski. „Pielgrzymka w lesie" (ol. r. 1873)
(wł. p. Zofia A. Kosińska).



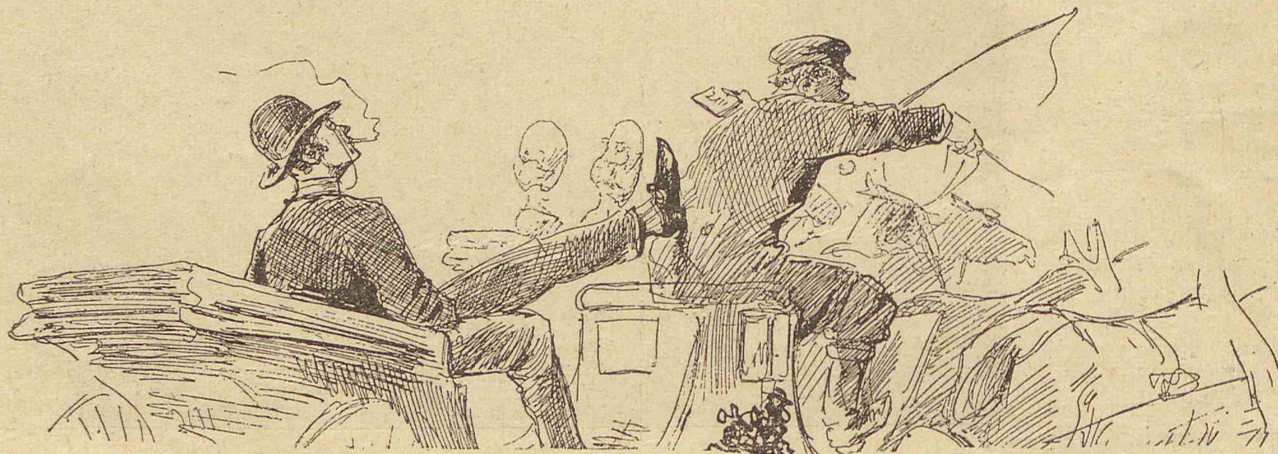
Fr. Kostrzewski *Morozowicz w roli stróża w operetce „Zemsta nietoperza".*

Malował je człowiek, wrażliwy także na ludzki ból i ludzką radość, na melancholję zimowego wieczoru i na komizm ruchów człowieka podchmielonego, w chwili kiedy przechodzi przez dziurawy mostek.

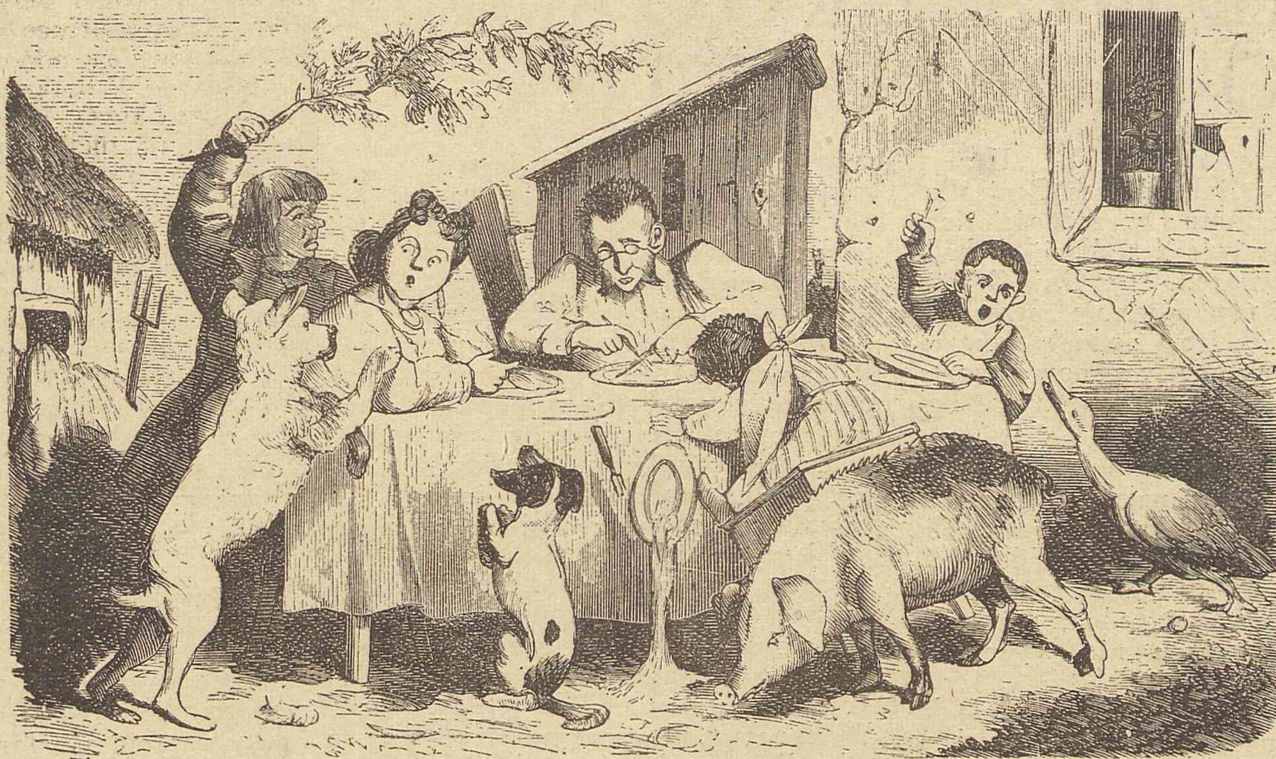
Bieg życia tego artysty, mimo powodzenia, nie był bez wstrząsów. Strata ukochanej żony spowodowała w jego psychice bezpowrotne załamanie, a trudne warunki zmusiły go do szukania łatwiejszych zarobków. Wtedy to Kostrzewski porzucił prawie całkowicie malarstwo olejne i zaczął niemal wyłącznie rysować. Tak sobie, „na kolanie", od niechcenia, z humorem, notując jak bystry, roześmiany kronikarz, typy i zdarzenia warszawskie, znanych ludzi i szarych człowiecz-ków, wielkie damy, świetne aktorki, i biedne szwaczuchny. Warszawa w jego rysunkach żyje. Warszawa się w jego rysunkach — przegląda. Bo odnajduje w nich całą swoją egzystencję — z drugiej połowy ubiegłego stulecia.

W wieku XVIII francuz Norblin de la Gourdaine otworzył polakom oczy na ich odrębności i uwiecznił w swych akwafortach i „Costumes polonais" serję typów polskich swej epoki. W pierwszej połowie XIX wieku tę samą rolę odegrał poniekąd Piwarski, odtwarzając w swym „Kramie malowniczym" typy współczesnych polskich wsi i miasteczek. W drugiej połowie XIX stulecia podjął to zadanie Kostrzewski. Z mniejszym niż tamci dwaj artyzmem, bardziej pobieżnie i zdawkowo. Ale i tej części jego twórczości nie należy lekceważyć, choć artystycznie równać jej nie można z pracami Kostrzewskiego-malarza.

Bo Kostrzewski-kronikarz, Kostrzewski - humorysta zostawił nam w tysiącach swych szkiców wierny obraz swej epoki. I typów, które już wymierają. I zajęć, które już giną. Gazeciarze, andrusy, elegant rozparty w parokonce, charakterystyczne scen-



Fr. Kostrzewski *Elegant warszawski w Alejach w niedzielę (rys.)*



— Bodaj to na świeżem powietrzu *człowiek* ma inny apetyt; *gdyby* nie te *muchy*, to na *resztę* możnaby nic uważać.
(rysunek Fr. Kostrzewskiego)

ki „na paradyzie" w teatrze, różne mniej lub więcej „zawiane" wyjścia z baru, stare typy traczy, posłańców, handełesów. — to wszystko już przeszłość. Tak jak przeszłością są również typy hulaszczej „złotej młodzieży", naiwnych „panien na wydaniu", zabiegliwych mam, sceny z „pierwszego balu", wiejskie typy rządców, gospodyń, pachciarzy. — choć wieś przecież nie tak szybko zmienia swe oblicze, jak miasto.

W rysunkach Kostrzewskiego żyje epoka naszych dziadów i ojców — więc choć tym rysunkom czasem zarzuciłby można niedbałość czy artystyczne niedociągnięcia — przeglądamy je z uśmiechem, tak jak się przegląda stare rodzinne dagerotypy w albumie. Uśmiechamy się czasem pobłażliwie, czasem ironicznie. Uważamy napewno, że nasze czasy są mądrzejsze i mniej śmieszne. A mimo to ogarnia nas jakieś wzruszenie. Zamyślamy się nad przeszłością. Ulegamy naiwnemu czarowi tej przeszłości.

Na tem polega magja bezpretensjonalnej sztuki Franciszka Kostrzewskiego.

Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, które dołożyło wszelkich starań, aby wystawa Kostrzewskiego jaknajpełniej dała poznać jego twórczość, należy się szczere uznanie i wdzięczność. Zadanie nie było łatwe. Wyszukać a zwłaszcza wydobyć dzieła tego artysty od kilkudziesięciu prywatnych właścicieli musiało przedstawiać niemałe trudności. Pokonano je szczęśliwie, zgromadzono prace bardzo cenne i liczne, rozmieszczono je z sensem — chronologicznie — tak, że wystawa daje zwiedzającemu naprawdę pełny obraz twórczości Fr. Kostrzewskiego.



„Emancypantką" warszawska z papierosem na spacerze.
(rysunek Fr. Kostrzewskiego)

JEDYNA DROGA DO DOBROBYTU



Dr. Henryk Gruber, prezes P. K. O.

Prezes P. K. O. dr. Henryk Gruber, jako prezes Centralnego Komitetu Oszczędnościowego R. P., wygłosił z okazji obchodu Międzynarodowego Dnia Oszczędności przemówienie przez radio, w którem poddał rozważaniom elementy, stanowiące właściwą drogę do dobrobytu Polski.

Stwierdziwszy na wstępie, że lata kryzysu należą do przeszłości, prezes Gruber podkreślił, że stoimy teraz wobec konieczności rozwoju współpracy między narodami. Jednak realizacja tego programu nie wydaje się bliska.

Prezes Gruber podkreślił dalej z naciskiem, że zdobyć się musimy w Polsce na solidarny wysiłek ludzi gospodarnych, tak jak to ma miejsce w innych krajach, stawianych nam często za przykład.

„Gdy obywatele wykazują energię, wolę pracy i zwycięstwa, gdy góruje u nich instynkt przyjmowania dobra, a odrzucania zła — wówczas mówimy, że naród do którego należą — jest potężny".

W dalszym ciągu swego przemówienia prezes dr. Gruber stwierdził, że niema uniwersalizmu w dziedzinie finansów, że każde państwo kierować się winno przedewszystkiem własnemi potrzebami i rozwiązywać związane z tem zagadnienia.

„W ciągu całych stuleci Polska zasypywana była gotowymi wyrobami, a gdy w ościennych krajach wystrzelały kominy fabryczne, polska młodzież chętniej zaprawiała się do teoretycznych studiów. Symbolem bogactwa była nie maszyna—lecz ziemia: celem, do którego zmierzała młodzież, był nie warsztat, lecz biurko.

Słowo szewc, krawiec, cieśla zamiast być— jak na to w pełni zasługuje — określeniem zaszczytnym, było często pogróżką dla młodzieńca, który nie przykładał się należycie do gramatyki greckiej lub łacińskiej. Łatwo wymawiało się u nas słowo dobrobyt, ale ci, którzy je wymawiali, traktowali je w pewnej mierze jako abstrakcję, jako teorię.

A przecież nie ma bezwzględniejszej, prostszej i bardziej zrozumiałej prawdy jak ta, że jedna jest droga do uzyskania dobrobytu: dobrze zorganizowana praca. Najsilniejszy pieniądz jest wszędzie tam, gdzie jest wielka praca. Każda inna recepta na uszczęśliwienie ludzkości będzie złudzeniem.

Jeżeli więc mamy zastanowić się nad środkami poprawy naszego obecnego stanu, przestańmy dawać ucha plotkom i niepokojom, i weźmy się do pracy. Brak nam podstawowego czynnika dla gospodarki, t. j. kapitałów. Dla ich uzyskania przy wytężonej pracy musimy stale wartość pieniądza naszego umacniać; nie stać nas na żadne eksperymenty.

Państwa, które dysponują olbrzymimi zasobami kapitałowymi, mają duże środki na przetrzymanie takich czy innych prób, więc mogą ryzykować. My musimy dopiero stwarzać pewien stan posiadania, nasze działania muszą mieć charakter niemal początkowy. Na Zachodzie ludzie mają taki nadmiar kapitałów, że mogą pozwolić sobie na wiele prób.

My musimy kapitały tworzyć, nawołując do pracy i oszczędności, tych dwóch podstawowych warunków życia gospodarczego, które niestety, nie jest jeszcze u nas życiem powszechnym.

Polska jest dotąd krajem małych potrzeb. Producent ma ciasny krąg klienteli; sprzedaje mniej na głowę ludności towarów, koszta produkcji są za tym proporcjonalnie do innych krajów wyższe.

Jeśliby produkował więcej — mógłby lepiej opłacać swych robotników, miałby więcej odbiorców, a dzięki temu ceny towarów byłyby tańsze. Rozwijanie potrzeb zbiorowych i indywidualnych jest niezaprzeczalnym dla nas interesem. Miarą zamożności nie jest wyłącznie stan posiadania, lecz również rozmiar konsumcji towarów, wyprodukowanych w kraju.

My w Polsce mało jeszcze wiemy o nadprodukcji i uważamy ją za luksus zagranicy. Trzeba nam więcej butów, więcej ubrań, więcej książek, więcej maszyn.

Ale skąd je wziąć?

Przecież ich nie przyniesie nikt w podarunku dla 34 milionów ludzi. Przecież żadna różdżka ich nie wyczaruje.

Trzeba więc samym wziąć się do roboty. Polacy wtedy odegrają rolę jako światowy czynnik ekonomiczny, gdy na jak najszerszą skalę produkować będą towary dla zaspokojenia własnych potrzeb.

Towary polskie nie zwalczą konkurencji na rynkach światowych zanim produkcja nie wytworzy sobie zbytu w samej Polsce. Dokonać tego dzieła nie da się inaczej, jak przyjmując dla każdego obywatela za naczelne hasło — hasło pracy, a za symbol działań gospodarczych — rzetelność i solidarność".

Kończąc swe przemówienie, prezes Gruber zaznaczył, że winniśmy wyzbyć się fatalizmu, godzącego się biernie na istniejącą nędzę. Zarzucić stare hasło „jakoś to będzie" — a zdobyć się na rozumny wysiłek pracy — oto nasz cel. Programowa oszczędność nic nie mająca wspólnego z „zaciskaniem pasa", stworzy w Polsce kapitały, niezbędne do gospodarczego podniesienia naszego kraju. Ta i tylko ta jest droga, po której krocząc osiągniemy dobrobyt.

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

— Nie, panie. Szczerość to co innego. Można być bardzo szczerym, ale duszę trzeba mieć zamkniętą na cztery spusty, dla niej samej, inaczej nie skumuluje się w niej siła.

— Ale jak to się robi — taka kumulacja?

— Widzi pan, człowiek ma w sobie wszystkie elementy duszy, wszystko zło i wszystko dobro, w nieokreślonej ilości. Jest potencjalnym zbrodniarzem i świętym. Jeżeli zdobędzie się na obserwowanie swoich myśli i czynów, a ma ambicję i wiarę, chce być lepszym, to stopniowo będzie się pozbywał cech niekorzystnych, ujemnych, złych, słabych, wszelkich nałogów, odruchów nieopanowanych, głupich przyzwyczajeń, afektów, a zacznie powtarzać akty dodatnie, stopniowo zacznie kierować swojemi emocjami przez rozum poznawczy i już będzie na drodze panowania nad sobą. Ani się spostrzeże, gdy zacznie panować nad innymi.

— No i co z tego?

— Z tego wyniknie dla niego możność wprowadzenia w życie swojego ja. Rezultaty jego działania dadzą mu wiele rozkoszy.

— Hedonizm.

— To nie będzie hedonizm, o ile człowiek uświadomi sobie celowość życia.

— A któż to wie, jaki jest cel życia. Bujda i już.

— Człowiek jest przecież synem Bożym.

— Albo świnią.

— To już jest kwestja historji jego duszy. Człowiek może się zacząć wznosić i z nizin zwierzęcych.

— A ja wiem tylko tyle, że czasem — ot, tylko w łeb sobie palnąć. A jeżeli tego nie robię, to przez delikatność, żeby blizkim kłopotu nie narobić. Nie, panie radco, życie — to jest wypadek. Wszystko co człowiek gada — to jest fikcja, a myśli — sam nie wie co. A czyny — to unikanie kodeksu karnego. Ot, czem jest życie.

— Stojąc nawet na pańskiem stanowisku, trzeba jednak przyznać, że czemkolwiek jest życie, — trzeba je przeżyć ładnie, bo inaczej będzie brzydko. Prawda?

— Ja to wiem. I ja chciałem żyć ładnie. Ale gdy teraz spojrzę poza siebie, widzę, że to, co wydawało mi się pięknem, jest ohydne, to o czem marzyłem w dzieciństwie — mają inni, to czego spodziewałem się, siedząc w okopach, stało się jarmarkiem, gdzie uwijają się handlarze sumień, a to co ukochałem — prysło, dla powodów więcej niż głupich, po prostu — konwencjonalnych.

— To wszystko można zmienić.

— Ale jak?

— Może się pan wkrótce dowie.

Chodząc teraz po pokoju major zatrzymał się przed aparatem radjowym, przesunął guzik, zabrzmiały tony orkiestry z opery w Medjolanie.

Traviata.

Smutek wionął.

Słuchali.

Kazimierz kontent był, że major otworzył radjo. Nie potrzebował tymczasem mówić. Męczyło go to, gdy rozmawiał o rzeczach najważniejszych z człowiekiem, który nie znał alfabetu życia.

Ale trzeba mówić.

Bursa dolewał już sobie teraz sam. Zim patrzał na niego ze współczuciem. Rozumiał tego słabego biedaka, zupełnie nie panującego nad sobą, pragnął mu pomóc, ale zdawał sobie sprawę, że tamten, pijąc i paląc bez przerwy, staje się co chwila mniej podatnym na działanie sił duchowych.

Niema rady z tym materjalistą. Trzeba mu zrobić pewne koncesje:

— Chciałbym jeszcze przeprowadzić z panem dyskusję, poznalibyśmy się lepiej, a potem — chcę zaprosić pana do Astorji na butelkę Wdowy Cliquot za zdrowie naszej przyjaźni.

— Kiedy pan nie pija...

— Owszem, pijam wino, ale mało. Mam wrażenie, że alkohol odbiera mi jasność myślenia.

— A mnie właśnie alkohol daje jasność myślenia.

— Może się pan myli...

— Jeżeli mam być szczerym...

— Miałbym żal do pana, gdyby pan nim nie był...

— Nie mam żadnych kwalifikacyj na świętego, mam natomiast naturę zmysłowca.

— Kwalifikacje na świętego ma każdy, miał je nawet ten łotr, który wisiał na krzyżu, miał je ten arcyświecki człowiek, który został św. Franciszkiem, i nawet ta nierządnica, której było na imię Magdalena. A co się tyczy natury zmysłowej, to każdy ją ma, ale nie wyłącznie. Ma zmysły, ale ma i rozum. Przecież pan kocha pannę Margaritę nie tylko zmysłami.

— Obawiam się, że tylko...

— Obniża pan w ten sposób poziom swojego uczucia, które zasadniczo jest niewątpliwie szlachetne.

— Co w tem szlachetnego! Miłość, panie, to jest instynkt zwierzęcy, rozrodczy, nic więcej, jak u psa. Będę szczery. Moja miłość jest zazdrosna. Ona mnie doprowadza do paroksyzmu wściekłości, że Margarita nie będzie moją. Czuję to. Stary Paolini niechętnie na mnie patrzy, ja to czuję.

— Niech go pan weźmie powagą, spokojem, niech pan z nim pomówi. Ot, ma pan przykład, do czego potrzebne jest panowanie nad sobą, a potem nad ludźmi. Niech pan sprobuje z nim pomówić.

— Boję go się.

— O, widzi pan, drugi przykład. Pan się boi z nim mówić. Nie powinno być dla pana tak wielkiego, tak złego, czy tak potężnego człowieka, z którym nie przyjąłby pan każdej dyskusji. Chce pan, to ja z nim pomówię!

— Dziękuję. Za nic w świecie...

Bursa popatrzył na Zima zezem.

— Niech mi pan powie, panie radco, szczerość za szczerość, jak pan doszedł do tego stanu, w jakim pan jest? Przecież jesteśmy rówieśnikami. Pan czasem robi na mnie wrażenie starca, choć fizycznie wygląda pan na lat trzydzieści. Pan jest chyba pozbawiony wszelkich namiętności.

Zim dość długo milczał, jakby ważył, czy warto mówić dalej do człowieka, z którym nie można się wogóle porozumieć, ciągle bowiem myśli i mówi o formie, gdy mowa jest o treści.

— Pan, panie majorze, rozumie namiętności, jako kaprysy zmysłów, grających dowolnie i szukających rozkoszy. Ale są inne namiętności, daleko silniejsze, upewniam pana, te, które mają siedlisko w duszy, trzymane są w cuglach i szukają szczęścia. Taka jest naprz. namiętność panowania.

— Myśli pan o karjerze politycznej?

— Owszem, są i takie namiętności, już szlachetniejsze od tamtych, bo nie zwierzęce, a bądź co bądź ludzkie. Nie, ja myślę o panowaniu nad sobą.

— To lepiej odrazu iść do klasztoru.

— Uciekać od życia i jego pokus — to także czasem dowód słabości.

— Skąd pan to wszystko wie?

— Mam przecież rozum.

— Ja też nie jestem głupi.

Śmiał się.

— Nie mam na myśli upośledzenia umysłowego. Ale rozum bywa dwojaki. Jeden sądzi na podstawie wrażeń, drugi na podstawie dociekania. I jeden i drugi błądzi. Rację ma tylko rozum w równowadze emocji i poznania. Taki rozum osiągają jedynie ludzie „ubodzy duchem", to znaczy pokornie przyjmujący Łaskę Bożą. Gdyby tacy ludzie rządzili światem — byłby on rajem. Ale jeżeli pan chce nazwać głupcem każdego człowieka nie władającego rozumem w równowadze, to Napoleon był skończonym głupcem, pomimo całego swego genjuszu. Dojrzał duchowo dopiero na wyspie św. Heleny. Przez cały ciąg swojej karjery rządził się rozumem jednostronnie i dlatego tak skończył. Niech mnie pan posłucha, panie majorze. Gdy byłem młodym chłopcem, złe wpływy pozbawiły mnie wiary: — „kobieta, wino, śpiew", zabawa, karty, obżarstwo, pijaństwo, ruja, cynizm, bluźnierstwo, przeklinanie. —

— To pan był takim jak ja... Zaśmiał się zadowolony.

Zim spokojnie mówił dalej, odgrzebując wspomnienia smutne.

— Ale zachowałem dwa skarby: wiarę i bystry wzrok. Gdy po przełajdaczonej nocy spojrzałem w lustro — widziałem bydlę. Zauważyłem później, że pracuję gorzej, że ręka mi się trzęsie, gdy piszę, że tracę zdrowie. Zacząłem obserwować wyraz twarzy swój i jednego z moich profesorów uniwersytetu, któregośmy nazywali „magiem". Było to zwykle przezwisko, ale sens był taki, że człowiek ten był jedynym na wszechnicy, na którego wykłady uczęszczali wszyscy. Wcale nie dlatego, żeby przedmiot jego — prawo rzymskie — był porywający, albo żebyśmy czuli przed nim jakiś strach, że nieznanych sobie z widzenia studentów będzie dyskwalifikował na egzaminach, — bynajmniej nie był srogi, tylko dlatego, że osoba jego nakazywała. —

— Co?

— Nic. Nakazywała. Poprostu musiało się przyjść. Cisza była w auli, jakby nikogo w niej nie było.

— A to poprostu belfer dobrze gadał i to wam robiło przyjemność — żartował Bursa, ale raptem spoważniał, patrząc w oczy Zima, który rozświetlił teraz twarz iskrą natchnienia i uśmiechem serca.

— Wybuch wojny podziałał na mnie piorunująco.. Byłem zupełnie pewny, że będziemy mieli Polskę. W całym rozwoju wypadków, najmniej przychylnych dla sprawy, jakby się na pozór zdawało, — widziałem prostą drogę do niepodległości. Najsprzeczniejsze działania różnych obozów uważałem za konieczne i — w rezultacie — za korzystne. Skąd i jak przyszło mi to przekonanie — nie wiem. Na froncie, w szpitalu, w akcji politycznej,— wszędzie widziałem nieubłagane działanie konsekwencji, ale działanie nie przyczyn materjalnych, lecz duchowych, wszędzie widziałem zupełne panowanie ducha wbrew wszelkim prawdopodobieństwom materjalnym.

— A ja widziałem wyzwolone ludzkie zwierzę, barbarzyństwo, gnijące ścierwo, wszy, zdradę, bogacenie się paskarzy, szpiegów, ogonki przed sklepami i absolutną obojętność społeczeństwa na naszą nędzę legjonową.

Wyrzucił z siebie jednym tchem, jakby w obawie, że Zim mu przerwie.

A Zim skupiony, wpatrzony w siebie, przeczekał i mówił dalej:

— Po wojnie zabrałem się do studjów historjozofji i filozofji polskiej, gdzie zdobyłem rozwiązanie zagadki bytu, która mnie męczyła. Życie nabrało dla mnie nowego znaczenia, poczułem się jednością z całym kosmosem, zrozumiałem, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Wszystkie zjawiska świata i historji ludzkości stały mi się jasne, jak słońce, wszystko nabrało sensu a życie moje — celu. Odtąd nic nie czynię odruchowo, lecz wszystko celowo...

— Pan jest po prostu — przepraszam — trochę egoistą...

— ... staram się stworzyć w sobie człowieka nowego... ciągle się odradzać, jak kazał Chrystus Nikodemowi, który Go nie zrozumiał.

— To mi pana żal, panie radco...

— Więc widzi pan, panie majorze, że dość jest uratować w sobie choćby jeden pierwiastek twórczy, by z niego wysnuć rozsądne życie. Człowiek musi się stwarzać ciągle, bo inaczej pada na twarz, w błoto.

— A czem jest świat, panie radco, jak nie błotem. Ziemia i woda — znaczy — błoto...

Zim wcale nie reagował na to, co odpowiadał Bursa.

— W panu, naprz., kochany majorze, tkwi teraz piękny pierwiastek miłości do panny Margarity. Niech pan na tem oprze swoje odrodzenie. Miłość jest twórcza. Niech pan nie wpada w sieć niedomówień, pozorów, omyłek, domysłów — w stosunku do panny Margarity i jej rodziców, bo to są źródła tragedji, o ile nie komedji. Niech pan wygarnie wszystko szczerze, po męsku. Był pan odważny w polu, niechże pan będzie męskim i w salonie.

— To trudniej.

— Gdyby pan się oparł na swojem uczuciu szczerze, odważnie, toby pan był zdolny do wielkich poświęceń, potem przyszłoby poczucie odpowiedzialności, potem praca dla ukochanej kobiety, przerobienie jej na Polkę, a gdy ona będzie szczęśliwa, rodzice jej napewno będą pana kochali i będzie wam dobrze.

Bursa kręcił się na fotelu i był niemal rozgniewany, że spokój najzupełniejszy, jaki promieniował z Kazimierza, panował kompletnie nad nim. Ale się upierał, by nie kapitulować, zmieniając ton.

— Nie wierzę w nasze szczęście. Wierzę natomiast w ślepy los i w tragiczny zbieg wypadków, który mnie tu przygnał, który mnie rzucił w obłęd miłości do panny Paolini... Bo ona nie jest dla mnie. Nie bylibyśmy nigdy szczęśliwi. Dwa światy.

Głos mu drżał.

— Ale wy się kochacie! To wam rozwiąże wszelkie problemy.

— Nie. Ja jestem przeklęty od losu. Wszystko mi się nie udaje. Mnie już nic nie uratuje.

— Drogi majorze. Nie bądźcież dzieckiem. Jestem waszym przyjacielem, choćbym był przekonany, że bez wzajemności i nawet wcale jej się nie spodziewam. Widzę, że jesteście w trudnej sytuacji i pragnę wam pomóc.

— Chyba, że tak. No, to napijmy się.

A po chwili:

— Ale ja panu nie zazdroszczę. To co ja czuję i jak czuję, tego nikt nie zrozumie, nawet pan.

— Dziękuję za „nawet".

Zim obserwował Bursę, który patrzał bezradnie w przestrzeń, pijąc i puszczając kłęby dymu.

— Historja pańskiej duszy, panie majorze, jest jeszcze krótka, bardzo krótka.

Bursa z trudem oderwał się od swoich myśli, które krążyły koło Margarity.

— Nie wiem, co pan chce przez to powiedzieć.

— To, że pan ciągle myśli o rozkoszach, a jeszcze pan nie wie, co to jest prawdziwe szczęście wysoko rozwiniętej świadomości.

— Owszem, myślę o szczęściu do pieniędzy... Gdybym je miał..

Zim zniżył ton o całą oktawę:

— Gdybyśmy częściej z sobą tak rozmawiali, wiele rzeczy zawikłanych udałoby nam się może zrozumieć.

— Rozumiem tylko jedno. Pan nie jest taki jak wszyscy. I dlatego nigdy się nie zrozumiemy. Bo ja jestem — zwyczajny człowiek...

Wstał.

Zim wyciągnął do niego dłoń serdecznie.

— Nie gniewa się pan na mnie? Mówiłem z panem bardzo szczerze, jak rzadko z kim.

— Wiem i dziękuję. Zresztą na pana nie można się gniewać. I niebezpiecznie. Może pan jest fakirem, co łyka sztylety.

Rozstali się wesoło, śmiejąc się.

Bo chociaż Zim brał za kapelusz, by wyjść z nim razem, jak miał zamiar, ale Bursa zapewnił go, że bierze taksówkę i jedzie do domu spać, bo deszcz lał bez przerwy.

Taksówkę istotnie wziął, ale pojechał do knajpy — sam.

* * *

Dorodna blondynka, prawowita pułkownikowa Johnson czytała „Punch" ostatkiem uwagi, taka już była senna. Snuły się jej jeszcze po głowie różne myśli o dzieciach, bo miała ich troje, małe jeszcze, a tak udane pod każdym względem, że stanowiły przedmiot ogólnego podziwu.

— Prawda, darling, że to nie dobrze, gdy ludzie zbyt chwalą dzieci, bo mam wrażenie, że zazdroszczą.

Ten pan, do którego były skierowane omdlewające słowa pani Johnson, a który leżał na sąsiedniem łóżku, był pułkownikiem, gdy był w mundurze, a gdy nosił ubranie cywilne — sprawował funkcje attaché wojskowego poselstwa Wielkiej Brytanji. W tej chwili był to po prostu piękny mężczyzna w pidżamie, okrutnie ziewający i przerzucający śmiertelnie nudne ilustracje angielskie, w których zawsze było to samo: fotografje mężów stanu jadących do Genewy, rozkosznych dzieci, koni wyścigowych i psów należących do starych rodzin anglosaskich, — starych panów, grających w golfa, murzynek z Tanganajki ze stożkowatemi piersiami i wreszcie — najnowszych modeli samochodowych.

— Czyś ty co powiedziała, Ruth? — wymamrotał senny pułkownik.

— Oczywiście że powiedziałam. Jesteś brutal i wcale nie słuchasz. Rozwiodę się z tobą.

— *I'm sorry dear.*

Ziewnął potężnie.

— Może mi odpowiesz?

— Kiedy nie wiem, o co pytałaś.

Myśl pani Ruth już była daleko.

— Jak myślisz, czy nasz Hugh będzie miał skłonność do dyplomacji?

— Skądże ja mogę wiedzieć.

— Powinieneś wszystko wiedzieć. Najprzód dlatego, że gdy się jest dobrym mężem, to się powinno wiedzieć wszystko to, czego żona nie wie, a po drugie dlatego, że jesteś w *Intelligence Service.*

— Hugh ma cztery lata dopiero.

— Nie dopiero, tylko już, a wogóle ty nawet nie wiesz, wiele twój syn ma lat. Ma cztery lata i 32 dni.

— *All right.*

— I nie wiesz także, że Margarita Paolini kocha się beznadziejnie w majorze Bursa.

— Dlaczego beznadziejnie? Jest śliczna, a on topi w niej spojrzenie, jak wąż boa w króliku.

— A ja ci mówię, że nic z tego nie będzie, bo poseł Paolini chce dla niej męża bogatego i arystokratę z wielką sytuacją, a major ma być odwołany.

— Skąd ty to wszystko wiesz? I jak cię takie plotki mogą wogóle interesować!

— A czemże ja się mam interesować? Przecież to jest życie. Realne, prawdziwe, ciekawe.

— Wszystko to jest nudne. Ciekawe są tylko wypadki polityczne, które przyjdą.

— Co, co się stanie?

Pani Ruth zapomniała, że jej się chce spać, zerwała się z poduszek, usiadła.

Bardzo jest ponętna.

Zauważył to nawet mąż. Otulił ją spojrzeniem:

— Kongres.

— Co ty mówisz! Pewno będzie wielkie przyjęcie u Króla. Może bal!

— Tego nie wiem. Ale że będzie skandal — to fakt.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KALENDARZYK WARSZAWY

Z PRZED PÓŁ WIEKU

LISTOPAD 1886



...znowu gorset stał się przyczyną śmierci...

Gorset zabił pannę X.

„Znowu gorset stał się przyczyną śmierci młodej i, co dziwniejsza, inteligentnej osoby.

W zeszłym karnawale panna X została przestrzeżona przez ograniczone przyjaciółki, że skutkiem tycia traci figurę. Nie słuchając perswazyj rodziców, zaczęła nosić gorset, który zaciskała coraz mocniej.

Zbytnie uciskanie klatki piersiowej już w lipcu spowodowało chorobę.

Panna dostała suchot galopujących i wczoraj właśnie zwłoki jej odprowadzono na miejsce wiecznego spoczynku.

Lekarze twierdzą, że tylko gorset był powodem rozwoju choroby.

Czyż ten świeży przykład nie odstraszy innych elegantek?".

Nowa linja tramwajowa na Nowym Świecie.

Na Nowym Świecie, poczynając od posągu Kopernika ku placowi Trzech Krzyży zaczęto budować nową linję tramwajową" czytamy pod datą 8 listopada. Następują szczegóły o tej linji:

„Ruch kolei żelaznej konnej odbywać się będzie na Nowym Świecie z powodu wąskiej ulicy tylko na jednej linji. Koło kościoła św. Krzyża powozy tramwajowe będą się wymijały".

„Stowarzyszenie jeźdźców na... samochodach.

„W Warszawie jeden z amatorów otworzył rodzaj manежu dla welocypedystów. Kształcą się tam przyszli członkowie stowarzyszenia jeźdźców na samochodach".

W szczególny sposób przedstawiano sobie przed pół wiekiem samochody. Oczywiście, chodzi tu o rowery zwane wtedy „welocypedami".

Aleja Róż przyjęta do Warszawy.

„Ulica Róż, o przyłączenie której do inwentarza m. Warszawy od kilku lat toczyły się pertraktacje, w tych dniach przyjęta została i wliczona w poczet ulic miejskich".

Chodzi, oczywiście, o Aleję Róż. Nie zapominajmy, że jeszcze nasi dziadkowie jeździli na tę ulicę na letnie mieszkanie.

300 rubli za czteroaktową sztukę.

„Jeden z tutejszych literatów zapozywa dyrekcję teatrów o zwrot zagubionego rękopisu, którego nie posiada kopji.

Przedmiotem akcji jest 300 rb. jako wynagrodzenie za 4-aktową sztukę, zaleconą przez komitet doradczy do grania."

„Stoimy u progu sezonu teatralnego".

Oto, jakie zapowiedzi na sezon 1886-7 znajdujemy w pismach warszawskich:

„Mają wystawić „Romea i Julję" z panną Marcello-Chrząszczewską w roli Julji, „Poskromienie złośnicy" z panną Romaną Popielówną i Bolesławem Leszczyńskim.

Z nowości zagranicznych nową sztukę Augier „Diana" z Żółkowskim, nową sztukę Dumasa (syna) „Półświatek", nową sztukę Feuilleta „Romans".

Z polskich nowości zobaczymy na scenie Rozmaitości nową sztukę Blizińskiego „Szach i mat" nową jednoaktówkę Bałuckiego „Piękna żonka", „Polowanko" Jordana z Żółkowskim i przeróbkę z Kraszewskiego „Chata za wsią" Mellerowej".

I koncertowego...

„Koncerta symfoniczne odbywać się będą w Teatrze Wielkim pod dyrekcją Rebiczka.

Grać będą na kolejnych koncertach: skrzypek Barcewicz. Esipow i Sain Saens".

Kar. Beyl.

KRONIKA LITERACKA

Najstarszy Uniwersytet Ameryki

Najstarszy uniwersytet Ameryki, Harvard, święcił we wrześniu b. m. trzechsetlecie swego istnienia. Uniwersytet nosi nazwisko pierwszego swego założyciela, John'a Harvard'a (urodzonego w Anglji), który, umierając w r. 1636, zapisał połowę swego majątku i całą swą bibljotekę na zapoczątkowanie uniwersytetu. W 20 lat później uniwersytety angielskie, Oxford i Cambridge, uznały stopnie naukowe, udzielane przez Harvard, za równorzędne z własnymi.

Obecna rocznica, oprócz licznych rzesz dawnych studentów, zgromadziła 567 delegatów, reprezentujących uniwersytety zagraniczne czterdziestu narodów.

Jednym z najpiękniejszych momentów obchodu była prezentacja delegatów rektorowi Conant'owi. Ten długi pochód postaci, przybranych w tradycyjne historyczne stroje uniwersyteckie, wywierał potężne wrażenie jedności nauki, jedności panującej ponad czasem i przestrzenią.

Książka o Polsce

Warto zasygnalizować, że oto pojawiła się w Londynie ciekawa książka o Polsce, *„No longer Poles apart“* (Longmans), której autorem jest Henry Baerlein. (Książka opatrzona jest wstępem przez ambasadora polskiego). Sprawozdanie z podróży p. Baerlein'a jest specjalnie przyjemne do czytania dzięki nadzwyczajnej radości życia i intensywności, z jaką przyjmuje on wszelkie wrażenia.

Podróż po Polsce Baerlein odbywa w towarzystwie Polaka z Ameryki, fabrykanta wody sodowej, który przyjechał poraz pierwszy do rodzinnego kraju, a którego autor poznał w Wilnie. Zwiedziwszy Wilno i Troki, wyruszają poprzez Polesie, — kraj dla Anglików szczególnie egzotyczny i pociągający. Zwiedzają Nowogródek, Nieśwież, Mankiewicze ks. Karola Radziwiłła, siedzibę generała Carton de Villart'a w jego dobrach, etc. etc. Następnie udają się do Lwowa i Krakowa, po drodze zatrzymując się na Huculszczyźnie. W Krakowie Baerlein poszukuje folkloru pod egidą prof. Dybowskiego. Trzeba dodać, że ta nowa książka o Polsce, pisana w formie rozmów z towarzyszami podróży, lub z tymi, którzy p. Baerlein'a gościli, spotkała się w Anglji z dużem zainteresowaniem i życzliwem przyjęciem.

Autorskie prawo własności we Francji

9 października upłynęło 56 lat i 152 dni od śmierci Gustawa Flaubert'a, a zatem dzieła jego stały się własnością publiczną. Oto wytłumaczenie tej tajemniczej liczby. Prawo z 14 lipca 1866 r. wyznaczało okres pośmiertnej własności autorskiej na lat 50. Po upływie tego czasu od śmierci autora, dzieła jego przechodziły na własność ogółu. Tymczasem nowe prawo, wydane po wojnie, dn. 3 lutego 1919 r., przedłużyło jeszcze ten okres o sześć lat i 152 dni, czyli dokładnie ilość czasu, jaka upłynęła od dn. 2 sierpnia 1914 do 31 grudnia 1919 roku.

Pierwszy skorzystał (jeśli można tak powiedzieć) z tego przedłużenia Sainte-Beuve, a po nim Dumas-Ojciec, Mérimée, Théophile Gautier Fromentin i George Sand.



Premja powieściowe „ŚWIATA“

Przy numerze bieżącym wysyłamy prenumeratorom zamiejscowym powieść Marcela Brion, odznaczoną literacką nagrodą Prowancji, p. t. „Śmierć jest piękna“. Prenumeratorzy miejscowi otrzymali tę powieść przy numerze poprzednim.



Naokoło świata

Les Nouvelles Littéraires“ podaje ciekawy spis „literatury podróży naokoło świata“. Podróży Magellana, dokonanej w ciągu 3 lat bez czternastu dni, zawdzięczamy sławny *„Dziennik Pigafetty“*. W r. 1771 ukazała się *„Podróż Naokoło Świata“* Bougainville'a, która cieszyła się wielkiem powodzeniem. W r. 1797 Millet-Mureau wydał *„Podróż La Perouse Naokoło Świata“*. W w. XIX-ym Dumont d'Urville napisał *Voyage de découverte autour du Monde á la recherche de la Perouse*, która wyszła w r. 1834 i *„Voyage pittoresque autour du Monde“*, która ukazała się w 10 lat potem. *„W 80 dni naokoło świata“*, fantastyczna powieść Jules Verne'a, ukazała się w r. 1873. Rok 1887 przyniósł *„Podróże Kapitana Cook'a“*.

W ostatnim dziesięcioleciu można wyliczyć: *„Monsieur Paquebot“* G. Le Févre'a, *„Notre Tour de la Terre“* Costes'a i Le Brix'a (oba w r. 1928) i *„Naokoło świata w Zeppelinie“* Gerville-Réache'a w r. 1929.

Jeszcze jedna pozycja w tym spisie przybędzie niezadługo, a autorem jej jest Jean Cocteau.

L. Buyno.

Paul Valéry w Warszawie

Kto czytał jego wiersze, pamięta, jak ze słów powstaje cicha muzyka, jak z dziwnych zestawień myśli i pojęć wynikają obrazy pełne kształtu i czaru i jaka sugestja marzenia spływa z delikatnych rytmów. Kto czytał jego prozę wie, czem jest gęstwina myśli nasycona jasnością i ile szlachetności jest w niepokoju, wyznawanym w zdaniach o marmurowej piękności. W ciągu wielu lat daleki poeta darzył każdego z nas chwilami zamyślenia i zachwytu. Jak słupy blasku oświetlają sygnały poezji samotność człowieka.

Aż nagle przychodzi taki dzień, kiedy owo odległe, wyczuwane źródło światła materjalizuje się w kształt realny, w istotę żywą, którą mamy przed sobą. Następuje coś jak zbliżenie obrazu w kinie. I oto jesteśmy w przepełnionej sali Akademji na odczycie

znakomitego gościa, słuchamy w naprężeniu obcego głosu, pośpiesznie przezwyciężamy nowość twarzy i gestu i w niepokoju czekamy na pierwsze słowo. Czy odpowie ono naszej tęsknocie?

Valéry nie zawodzi nas i odrazu zacieśnia kontakt pomiędzy sobą a czytelnikiem-wyznawcą. Poprzez szumny temat swego wykładu: „Le Classique vu par un moderne", mówi właściwie o sobie i o swej artystycznej pracy, odrazu stwarzając atmosferę szczerości. Mówi z prostotą i wdziękiem, nie wykłada, ani nie przemawia, raczej opowiada — gawędzi. W skupieniu wypowiada nagromadzone myśli, ubarwiając je dowcipem i czerpanemi zewsząd porównaniami. Okazuje się jeszcze, że jest to praktyk i teoretyk klasycyzmu w literaturze, miłośnik i pracownik doskonałej formy. „Tylko formie zawdzięczają dzieła sztuki swe trwanie" — mówi Valéry.

Poszukiwanie najlepszej formy — to treść życia artysty. Dzieło sztuki kształtuje się powoli. Tygodniami i miesiącami nieraz szukać trzeba odpowiedniego wyrazu. A nieraz znów rozstawać się trzeba z urywkiem, który sami podziwiamy, o ile nie mieści on się w ramach całości. Tu rozprawia się Valéry z romantyzmem, dla którego, jak wiadomo, fragment był ważniejszy od całości — w imię zamkniętego w nim piękna. Przeciw romantyzmowi również zwraca się Valéry, gdy zgodnie z tendencjami dzisiejszych poetów — naszych również — ceni w rzemiośle poetyckiem przedewszystkiem świadomą pracę nad wierszem i nie dowierza natchnieniu. Poznajemy w nim doskonałego przedstawiciela literatury francuskiej, tej, która chlubi się długim szeregiem klasyków od 16-go wieku do dziś.

Czy epoka nasza sprzyja tak pojętej sztuce? Pięknie mówi o tem prelegent, malując trudności pracy dzisiejszego artysty. Jaskrawość i hałaśliwość naszej epoki zmuszają artystę do wzmocnienia środków wyrazu, by sprostać efektom zintensywnionej rzeczywistości. Nadsłuchujemy — czy do zadań dzisiejszego artysty wobec swego czasu nie należy też przemyślenie nowych zagadnień i podjęcie twórcze nowych tematów? ...Ale nie. Valéry nie chce dotykać treści. Mówi tylko o formie. Opowiada o tem, jak pracuje artysta, jak poeta tworzy sobie z mowy swej osobny język, niby specjalny instrument muzyczny i jak powracać musi bez końca do swego utworu i nigdy nie uważa go za gotowy. Czy było to nowe? Nie. Ale zilustrowane na nowo i subtelnie, chwilami osobiste i wzruszające. Rozglądamy się po sali. Właśnie padają słowa: Uwór poetycki kształtować się musi powoli, ponieważ jest jak kryształ. (Wittlin potakuje z gorzkim uśmieszkiem na skupionej twarzy. Kuncewiczowa słucha w zamyśleniu.)

Wdzięczni byliśmy poecie za jego odczyt. Była to rzadka opowieść najwybitniejszego fachowca, w którego bezcennej pracowni powstają jedne z najpiękniejszych kryształów.

S. Bądkowska

CZY PANI WIE ŻE...

...dla zachowania pięknej cery wiadomo, że niezbędne jest żelazo w pokarmach. Niech pani jada soczewicę — ostatnie badania wykazały, że zawiera ona bardzo duże ilości żelaza i wpływa doskonale na świeżość cery. Zaleca ją w Hollywood stale znakomity specjalista „od urody", lekarz wszystkich gwiazd filmowych. Warto spróbować.

W tym celu zalecane jest też jadanie wątróbki cielęcej, kapusty, marchwi, buraków. Najwięcej żelaza zawierają jednak liście warzyw zielonych np. szpinaku, sałaty, koperku. Są to najpewniejsze i najmniej przykre lekarstwa przeciwko anemji.

...pani cera nigdy nie będzie ładna, jeżeli działalność pani narządów trawienia pozostawia do życzenia. Doktór poznaje leniwy żołądek — po kolorze skóry pacjentki... Otóż ów wyżej wspomniany lekarz „gwiazd" z Hollywood stosuje stale swój nader prosty wynalazek, polegający na dawaniu pacjentkom do picia codziennie określonej ilości buljonu roślinnego, zestawionego celowo tak, aby zawierał znaczne ilości potasu. Spróbujmy zastosować jego radę. Oto ów przepis:

Drobno poszatkować następujące jarzyny: **selery** w takiej ilości, żeby po poszatkowaniu zmieściły się w trzech szklankach, **marchew** — taką samą ilość, **szpinak** — jedną szklankę, **koperek**—ćwierć szklanki. Włożyć jarzyny do rondla, zalać dwoma litrami wody gorącej i gotować dwadzieścia pięć minut. Zdjąwszy z ognia odcedzić sok, dodać łyżkę chudego buljonu, i wlać szklankę soku pomidorowego. Pić tego płynu pół litra dziennie, w kilku dawkach, np. po pół szklanki na raz. Pić można zarówno zimne jak ciepłe.

Podobno żadna, najbardziej nawet mieczysta cera, nie oparła się skutkom tego jakoby niezawodnego lekarstwa.

...wszystkie kawałki futra, choćby najmniejsze, jakie tylko pani posiada, w tym sezonie zastosować jest łatwo dla ozdoby kostjumu albo sukni. Wązkie paseczki futra wykańczają brzeg rękawów, kołnierzyka, lub zapięcie stanika. Z futra robić można szamerowania, ciągle jeszcze bardzo noszone. Z futra także całe kapelusiki (naturalnie bez ronda) — albo przynajmniej na kapeluszu jakiś motyw. Z futra wreszcie — małe lub duże kieszenie, nakładane na żakiecie, sukni lub palcie. Kieszenie te mają kształty najbardziej nieoczekiwane, np. wycina się je nakształt rękawiczki, portmonetki, albo nawet **parasola!** Tych dziwactw jednak pani nie radzę. Ładna kieszonka kwadratowa nigdy się nie „opatrzy" — i nigdy nie wygląda śmiesznie.

...jeżeli pani ma osłabione dziąsła, co się poznaje po tem, że zęby zaczynają się nieco chwiać — to należy natychmiast zastosować masaż dziąseł. Robi się to tak: na szklankę wody wsypać pół łyżeczki soli, i szczoteczką do zębów — a jeszcze lepiej palcem — masować energicznie dziąsła z góry na dół. Trzeba przytem, jak mi słusznie mówił znakomity paryski dentysta, **myśleć o tem, co się robi.** (Bo te mechaniczne czynności wykonywamy zwykle myśląc o czem innem prawda?)

Masować zatem uważnie, nie opuszczając żadnego miejsca na dziąsłach — poczem wypłukać usta wodą ciepłą, zakwaszoną paroma kroplami cytryny. (Cytryna ma własności ściągające).

Przy osłabieniu dziąseł używać pokarmów, zawierających witaminę C. Neleżą do nich przedewszystkiem cytryny. Doktór Milton Hanke, prof. Uniwersytetu w Chicago, stwierdził ostatnio po długich obserwacjach i doświadczeniach, że codziennem piciem jednej szklanki soku cytrynowego lub pomarańczowego można bardzo przyspieszyć wyleczenie zapalenia dziąseł i chwiejność zębów. A znam niestety dentystów, którzy w takich wypadkach mają pod ręką najszybszą i najbardziej radykalną radę: ząb wyrwać, a wstawić sztuczny.

„W ten sposób zarabiają dwa razy" — jak zauważyła jedna z moich znajomych melancholijnie...

Dama Pikowa.

ŚWIAT TEATRU

Teatr Ateneum, „Szkoła żon" Moliera.

Były już czasy, kiedy zagadnienie wychowania kobiet streszczało się w pytaniu, jak pokierować młodą dziewczyną, aby stała się dzielnym i pożytecznym człowiekiem. Ale od niedawna zaczęto się znowu zastanawiać, jak ją wychować na dobrą żonę. Okazało się bowiem, że przygotowanie do małżeństwa jest dla kobiety ważniejsze i trudniejsze niż przygotowanie do zawodu. Zarówno beletrystyka dzisiejsza, jak dokumenty życia codziennego np. ankiety brukowych pism wskazują wyraźnie, że takie właśnie ujście zagadnienia ożyło w całej pełni. Gdy w dodatku znalazło się w Europie państwo, które do swego politycznego programu włączyło skrajnie wsteczne rozwiązanie tej kwestji — zapanowała na dobre atmosfera, w której tyrady Molierowskiego opiekuna i opłakane dzieje jego metody wychowawczej nabrały nowej wymowy i aktualnego posmaku.

Szczerą satysfakcję sprawia dziś publiczności opłakany widok mężczyzny, który dla celów egoistycznych wychował sobie młodą dziewczynę w zamknięciu, pragnąc doczekać się z niej powolnej we wszystkiem żony-idjotki, a padł ofiarą własnej przezorności, ponieważ okazało się, że nic bardziej nie mogło sprzyjać obudzeniu się wielkiej miłości do innego w jej sercu, jak właśnie zamknięcie i naiwność. Genjalny komedjopisarz potrafił przytem nietylko ośmieszyć egoizm i lubieżność starzejącego się „opiekuna" i zadrwić z systemu wychowawczego swojej i niekoniecznie swojej epoki. Umiał ponadto pokazać naturę ludzką w jednym z jej najpiękniejszych przejawów.

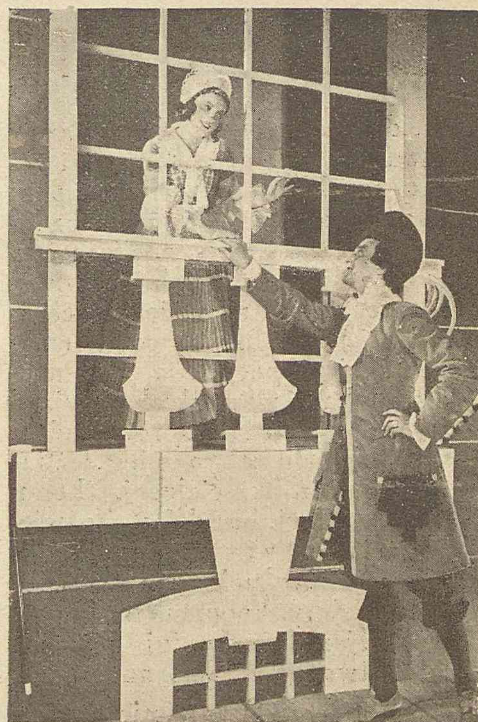
A dokonał tego na dwóch przykładach — różnych a przekonywujących — w nagłym rozkwicie silnego uczucia. Olśniewającemu przebudzeniu duszy ulega Anusia, gdy poznaje pierwszego pięknego młodzieńca. Instynkt i jego prawo przełamują zakazy i niszczą w jednej chwili cały system wychowawczy Arnolfa. Staje się cud: mała gąska przeistacza się nie wiedzieć kiedy w kochającą i walczącą o swe szczęście kobietę. Patrzymy z zachwytem na tę czarującą przemianę.

Drugim okazem głębokiego przeobrażenia jest Arnolf. Pod wpływem nagle wezbranej zazdrości o wychowanicę, którą sobie upatrzył na żonę i wychował, spokojny zamiar przeobraża się w nim w zawzięty upór, upodobanie — w namiętność. Widzimy jak ten chytry i chłodny człowiek zaczyna płonąć, jak miota się w bezsilności, jak daje się porwać rozpaczy. Komizm niewczesnego uczucia starszego mężczyzny do młodziutkiej dziewczyny splata się z tragizmem, gdy Arnolf w zupełnem rozbiciu błaga swą wychowanicę o odrobinę uczucia, i sam podszeptuje jej zdradę, byle tylko z nim pozostała. Te głębokie momenty roli wydobył ze szczególną siłą Jaracz i one to sprawiły, że przedstawienie „Szkoły żon" należy do najpiękniejszych przedstawień, jakie zobaczyć można obecnie w Warszawie.

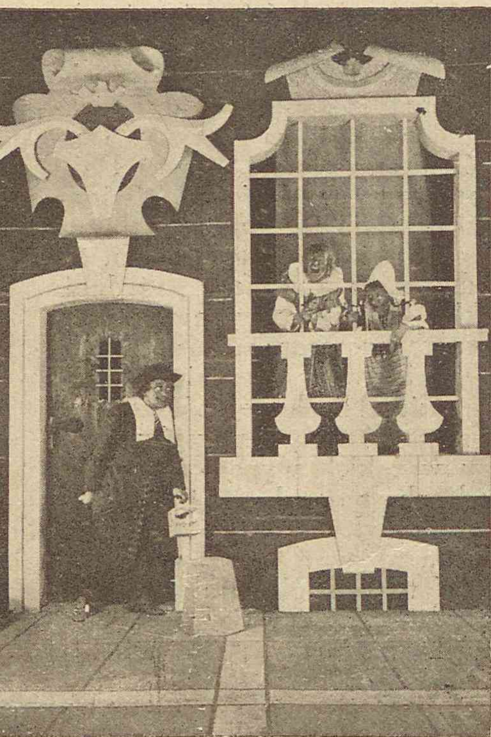
Niewiele jest sztuk Moliera, które mają akcenty tak wielkiego bólu. Czujemy tu prawdę o takiej szczerości wyrazu, jaka może płynąć tylko ze źródła najosobistszych przeżyć autora. Bo też „Szkoła żon" jest utworem pisanym wkrótce po zawarciu małżeństwa przez Moliera. A było to małżeństwo nieszczęśliwe, wielką goryczą mające kiedyś zaprawić całe jego życie. Był to przecie związek dojrzałego mężczyzny zawalonego pracą, nękanego ciągłą walką z przeciwnikami i wrogami — z młodziutką i lekkomyślną, a bardzo ukochaną dziewczyną.

Dokoła wątków poważnych oplatają się motywy farsowe, bez których niema molierowskiej komedji, wyrosłej w tradycji farsy włoskiej i francuskiej. Para groteskowych służących, dobrze odtworzona przez Jaraczównę i Danilowicza oraz dowcipna dekoracja Daszewskiego stanowią elementy farsowe przedstawienia. Dobra ilustracja muzyczna podkreśla liryzm scen między kochankami. Młoda, pierwszy raz ukazująca się na scenie aktorka Polakówna w roli Anusi ładnie mówi wierszowane tyrady i prześlicznie wygląda w stylowym kostjumie. Ruchy ma pełne wdzięku, ale nieco monotonne. Reżyserja Perzanowskiej. To mówi samo za siebie.

S. K. B.



J. Polakówna, L. Pośpiełowski.



S. Jaracz, S. Daniłowicz, H. Jaraczówna.



S. Jaracz, L. Pośpiełowski.

CLAUDE FARRÈRE

DRZEWO, KTÓRE ZADRŻAŁO

Przy bramie Saint-Cloud limuzyna się zatrzymała dla kontroli benzyny. Pani Voghera aby wykorzystać postój, wydobyła z woreczka lusterko, puder oraz batonik karminu. Czyniąc to, zawczasu rzuciła towarzyszowi żartobliwe spojrzenie kobiety, która spodziewa się spotkać z ironją mężczyzny. Lecz ironji nie było. Donald Stuart, oparty łokciem o drzwiczki, a pięścią o brodę, spoglądał we wręcz przeciwnym kierunku.

Tego pięknego, letniego wieczoru pani Voghera i Donald Stuart wybrali się na wspólny spacer. Osiem dni wilegjatury we dwoje. Wybrano pałac w Trianon.

Nie byli parą zakochanych: poprostu dwoje kompanów podróży. Ona, lat trzydzieści; on — czterdzieści. Dwa życia, które łączyło zamiłowanie do podróży. Pozatem, dwoje najlepszych na świecie przyjaciół i najuczciwszych ludzi.

Kobiety i mężczyźni, których pierwsza młodość obfita była w przygody, przeżywają często zachwycającą dojrzałość, pełną pobłażania i zrozumienia. Donald Stuart i Paulina Voghera nigdy ze sobą nie flirtowali i dalecy od tego, darzyli się najserdeczniejszą wdzięcznością. Osiem dni, spędzonych we dwoje, w cudownej miejscowości, stworzonej przez największego z królów, było tak dla jednej, jak i dla drugiej strony oazą odżywczej przyjaźni pośród świata wrzącego miłością, której sami ostatnio tyle przeżyli, a od której i obecnie nie byli wolni.

Gdy następnie auto ruszyło, pani Voghera ujęła dłoń Donalda Stuarta i uścisnęła ją. On zatrzymał w palcach jej delikatną rączkę i złożył na niej pocałunek. To wszystko bez cienia zalotności. Rozumieli się przewybornie.

— Jakże rozkoszną rzeczą — szepnęła pani Voghera — jest bezpieczeństwo. I jak często ludzie, którzy podają się za naszych przyjaciół, są tylko myśliwymi na czatach i zdają się jedynie wyczekiwać odpowiedniej okazji.

— Ech — odrzekł Stuart — nie jestem na tyle naiwny i zbyt cię lubię, bym dla nadziei miłości ryzykował pewność przyjaźni.

Auto mknęło ku wybrzeżu Montretout. Posuwało się raźno. Było to przed wojną, kiedy Francja posiadała niewiele wozów a drogi doskonałe.

Ville d'Avray. Wioska. Auto tonęło w mroku nocy. Dwie jego latarnie przebijały ciemności podwójnym oślepiającym błyskiem. Zagajniki, lasy, doliny, pagórki kolejno zdawały się wynurzać spośród cieni. Jeszcze dziesięć minut a będą w Wersalu.

Nagle przy skręcie lasu — huk. Po paru szarpnięciach wóz trzęsąc się utknął.

Stuart wychylił głowę:

— Opona?

— Trzasła — potwierdził szofer.

— Czy macie, co trzeba?

— Tak, tak. Zmienię koło. Kwestja pięciu minut.

Stuart odwrócił się:

— Pięć minut, kochanie! Może wysiądziemy?

— Chętnie — odrzekła.

Las był piękny. Dęby, jesiony, buki, lipy, wszystkie zachwycające odmiany „Ile de France", która, w samym środku kraju położona, bardziej jest francuska od Francji samej. Wszyscy starzy Gallowie tu się skoncentrowali. Uciążliwa melancholja Bretanji pomieszana z gorącą słodyczą ziemi Basków i Pirenejów. Wdzięk prowansalskich lasów pinjowych, zupełnie niebieskich, obok tajemniczości Wogezów z ich świerkami czarnemi i szaremi oparami. Cudowny stop najcudowniejszych metali.

Donald Stuart i pani Voghera wysiedli. Szofer przy świetle jednego z reflektorów manipulował przy kole. Jaskrawo oświetlone auto i czarna sylwetka krzątająca się w tym brutalnym. białym płomieniu tworzyły widok niepozbawiony malowniczości. Pani Voghera, wsparta na ramieniu swego towarzysza. widziała już w wyobraźni jaskinię cyklopów i kowala Wulkana. Gdy od patrzenia rozbolały ją oczy, poszli dalej. W blasku księżyca ciągnęła się droga, szeroka i biała, tylko pocięta drzewami w brunatne smugi, i sylwetką wiejskiej chaty z jednej strony ocieniona. Nieco dalej trzy topole gubiły się w gwiazdach.

W pewnej chwili Donald Stuart mimowoli przystanął:

— Ho! — mruknął — to tutaj?

— Tutaj? — powtórzyła pani Voghera.

Spoglądała na niego ciekawie, lecz bynajmniej nie wrogo; nie byli przecież parą zakochanych.

Jeszcze raz zapytała:

— Tutaj? Znasz to miejsce?

Odpowiedział:

— Tak... poznaję je. Te topole... i ten domek...

— Więc?

— Więc jest to miejsce, w którem zatrzymałem się osiem czy dziesięć lat temu, tak jak dzisiaj, nocą. Jechałem samochodem; samochód doznał uszkodzenia, również tak jak dzisiaj...

— Prosty zbieg okoliczności. A pozatem nie widzę w tem nic nadzwyczajnego?

— Zapewne. Lecz posłuchaj dalej. Nie byłem sam.

— Miałeś z sobą przyjaciółkę?

— Nie przyjaciółkę... przyjaciela... przyjaciela, o którym ci nieraz wspominałem: księcia d'Offenbach.

— Co? Księcia d'Offenbach? tego, co umarł?...

Stuart pochylił głowę:

— Tego, który umarł, jak ci wiadomo... jak wiadomo całemu światu... który umarł w aucie, przy moim boku, na trasie z Paryża do Wersalu. Umarł tego samego dnia, który mamy dzisiaj, w kwadrans po zatrzymaniu się w miejscu, gdzie się obecnie znajdujemy.

— Istotnie — odrzekła — jest to dziwniejsze, niż przypuszczałam.

Zamyśliła się chwilę.

— Czy to... czasem nie à propos tej śmierci pana Offenbacha opowiadano jakąś historję o drzewie?

— Tak—odpowiedział Stuart— taką historję opowiadano i jest ona prawdziwa.

Rozejrzał się dokoła i skierował w stronę odosobnionej akacji:

— Niema wątpliwości. Oto właśnie to drzewo.

Skolei podeszła pani Voghera i przyjrzała się akacji.

— Przypomnij mi tę historję.

— Jest prosta: noc była taka spokojna, jak dziś... ani tchnienia wiatru... Offenbach i ja wysiedliśmy, tak jak dzisiaj myśmy wysiedli... i spacerowaliśmy drogą, czekając, aż szofer naprawi motor. Nagle Offenbach zawołał mnie. Stał przed tem drzewem... tu, gdzie ja teraz stoję... i wskazał mi je. Powtarzam ci, że powietrze dokoła było nieruchome, idealnie nieruchome. Pomimo to widziałem, tak jak widział to Offenbach, że ta akacja zadrżała.

— Zadrżała?

— Zadrżała bardzo gwałtownie. Do tego stopnia, że wyciągnąłem rękę, by schwytać gałąź i dotknąć tego, co wydawało mi się cudem prawdziwym. Dotknąłem drzewa, i natychmiast się uspokoiło. Wówczas Offenbach poszedł za moim przykładem — wyciągnął rękę i ujął gałąź. Drzewo natychmiast zaczęło drżeć ponownie i jeszcze silniej, niż przedtem.

To powiedziawszy, Donald Stuart zamilkł.

— To wszystko? — zapytała pani Voghera.

— To wszystko — odpowiedział Donald Stuart. — W kwadrans później Offenbach już nie żył.

— Doprawdy, przedziwna historja — rzekła pani Voghera.

Zbliżyła się do drzewa, uniosła rękę i po chwili wahania ujęła liść palcami. Drzewo pozostało nieruchome.

— Czy w ten sposób — zapytała — twój przyjaciel dotknął akacji?

I wypuściła listek z dłoni.

— Mniejwięcej — odpowiedział Stuart — może trochę śmielej. O tak.

I podszedłszy skolei do drzewa, sam całą dłonią podniósł najniższą z gałęzi.

Wtedy...

Wtedy akacja gwałtownie zadrżała. A zadrżała drżeniem tak głębokiem, że wszystkie liście, wszystkie gałęzie, sam pień nawet poruszały się. Burza nie wstrząsnęłaby nią tak silnie.

Przerażona, pani Voghera odskoczyła wtył:

— Co to? — krzyknęła.

Donald Stuart bardzo blady wypuścił z ręki gałąź, lecz drzewo w dalszym ciągu drżało.

— A więc — rzekł po pewnym czasie, starając się mówić głosem najspokojniejszym (dzielny był człowiek z tego Donalda Stuarta) — właśnie, akacja, o której mowa, drżała wówczas tak samo, jak drży w tej chwili.

I zmarszczywszy brwi, wbił wzrok w wibrujące drzewko.

Po minucie dorzucił, tym razem twardszym głosem:

— Jedną łaskę mi wyświadcz. Dotknij jeszcze raz drzewa.

— Nie mam odwagi — odrzekła.

Nalegał:

— Proszę cię o to!

Posłuchała i drzewo odrazu przestało drżeć.

— — — — — — —

Zdala rozległ się głos szofera.

— Proszę państwa, koło już zamienione.

Koło już było założone, reflektor również. Samochód ruszył łagodnie z miejsca, podjeżdżając ku osłupiałej parze przyjaciół. Stuart odzyskał dawny spokój. Podał ramię pani Voghera, by wsiadła do wozu:

— To nie jest żadna przeszkoda. Cokolwiek ma się stać, czy nie lepiej będzie, jeśli i tak pojedziemy do Wersalu?...

I nie mieli już w drodze żadnego wypadku. Ale gdy przy bramie hotelu Donald Stuart wysiadał pierwszy, noga mu się obsunęła, upadł, uderzył głową o brzeg chodnika i podniesiono go martwego.

Tłum. *T. Maluga*

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. P. OKTAWIA GŁOWACKA

Ś. p. Oktawja z Trembińskich Głowacka, wdowa po Bolesławie Prusie, należała do typu kobiet, który już niestety staje się zaginionym. Wątpliwe jest bowiem, żeby w współczesnem pokoleniu znalazł się zadatek na tego rodzaju matronę, jaką była zmarła.

Dzisiaj, gdy religijne wychowanie traktowane jest po macoszemu, gdy sprawność fizyczną ceni się więcej niż rozwój duchowy, a więzy rodzinne tak są rozluźnione, że młodzież oswaja się z tem niemal od kolebki, trudno o kultywowanie takich ideałów, jakim hołdowała ś. p. Oktawja Głowacka.

Była to kobieta, która przez cały ciąg swego długiego żywota niosła śmiało sztandar Polki-obywatelki, kapłanki domowego ogniska i matki chrześcijanki w całem znaczeniu tego słowa.

Idealna żona, do ostatnich chwil życia swego genialnego Małżonka była Mu wierną towarzyszką w pracy, otuchą w chwilach zwątpienia, a nieraz i natchnieniem.

Wybitnie inteligentna, wykształcona, szła zawsze z postępem. Do ostatniej chwili trzymała rękę na pulsie życia publicznego śledząc z zachwytem wszystkie zdobycze ludzkiego ducha. Nie zaniedbywała też rozwoju własnej osobowości, pomnąc na to, że nie można świecić innym, jeśli w naszem własnem sercu brak światła.

Przez całe życie uprawiała czyn miłosierdzia jak mogła i gdzie mogła.

Przed tą cnotą chylimy czoła z wdzięcznością w duszy i żalem w sercu.

Pamięć o niej nie zaginie.



Ś. P. HENRYK GAY

Niedawno zmarł w Warszawie w wieku 61 lat ś. p. inż. Henryk Gay. Zmarły był uczniem Szkoły Realnej w Warszawie, zaś studja wyższe odbywał w Petersburgu, gdzie uzyskał, ze złotym medalem, dyplom inżyniera - architekta. Uzupełnia studja w Paryżu i Monachjum, zwiedzając jednocześnie Włochy, Alger, Tunis.

Osiadłszy w Warszawie, zdobył opinję wybitnie utalentowanego architekta, projektując i budując wiele gmachów w stolicy, oraz cały szereg kościołów i gmachów na prowincji.

Oprócz pracowni w Warszawie posiadał ś. p. H. Gay, przed wojną światową, drugą pracownię w Mińsku Litewskim. Wojna światowa zastaje ś. p. H. Gay'a w Rosji, gdzie zorganizował kolonję polską, pełniąc jednocześnie z wyboru funkcje konsula powstałej Rzeczypospolitej. Wróciwszy po uciążliwej tułaczce do kraju, wstąpił w czasie najazdu bolszewickiego do Straży Obywatelskiej.

W ostatnich latach zrzygnował z profesury w Szkole Kolejowej w Warszawie, oraz ze stanowiska komisarza osady - letniska Konstancin, który swój rozwój z lat ostatnich Jego inicjatywie i energji zawdzięcza. Niestrudzony szermierz idei piękna i klasycyzmu w architekturze, marzyciel i idealista, a jednocześnie człowiek czynu — pozostawił po sobie olbrzymi dorobek owocnej pracy, oraz niezatarty ślad w pamięci tych, z którymi miał kontakt za życia.

Zgon jego jest bolesną stratą dla architektury i budownictwa polskiego.

Cześć Jego świetlanej pamięci.

Następnym filmem Gary Coopera po ukończeniu „Żółtego Skarbu" będzie „The Plainsman" reżyserii Cecila B. de Mille'a, w którym partnerką jego będzie Jean Arthur, znana z filmów „Całe miasto o tem mówi" i „Pan z miljonami".

Fot. Paramount

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

ŚWIAT FILMU

„Wierna Rzeka" — **Pan**

Przeróbki filmowej znakomitego romansu Żeromskiego dokonał A. Stern z dużym pietyzmem dla oryginału, rzetelną starannością w opracowaniu szczegółów i znajomością wymogów kina. Dobry, inteligentny scenarjusz przy ciekawej i logicznej reżyserji (L. Buczkowski) i właściwem obsadzeniu ról, dał w rezultacie film nadspodziewanie udany.

Gra wszystkich wykonawców staranna, szczera, przekonywająca. Zdjęcia technicznie bez zarzutu odznaczają się ciekawemi pomysłami fotograficznemi i zdradzają dużą kulturę artystyczną operatorów i reżysera.

M. Cybulski jako książę Odrowąż stworzył bodaj czy nie najlepszą sylwetkę ze wszystkich swych dotychczasowych ról. Zarzucićby mu można pewną nadmierną staranność w ruchach, co sprawia wrażenie nienaturalności.

Piękna, szlachetna Mija w wykonaniu Baśki Orwid znalazła odtwórczynię godną, świetną zwłaszcza w momentach dramatycznych, słabszą i zbyt patetyczną w chwilach miłosnego uniesienia. Naogół jednak cechy dodatnie znacznie przeważały.

Fr. Brodniewicz dużo lepszy, niż w niedawno widzianej „Trędowatej" włożył w postać rosyjskiego rotmistrza dużo szczerości i naturalności i pokazał, że z roli *odpowiednio* mu wybranej potrafi wywiązać się nienagannie.

„Stara gwardja" polskiego filmu — Junosza-Stępowski, Węgrzyn w epizodach nie zawiedli.

Fenomenalnie odtworzył rolę starego kucharza Szczepana p. Sielański. Jego charakteryzacja, timbre głosu, zgarbiona starcza postać i niespodziewane odruchy — to już wystarczająca atrakcja, aby film obejrzeć.

Świetnie utrzymane w napięciu dramatycznem fragmenty rewizji i momenty w salonie stryja Dominika przy naturalnej grze i celowej reżyserji należą do najlepszych scen filmu.

Nadprogram — dodatek Pata, dodatek sportowy Foxa i dobra groteska Walt Disneya „Trzy kotki sierotki", produkcji „United Artists".

J.

„Kobieta zawsze ma rację" — **Bałtyk**

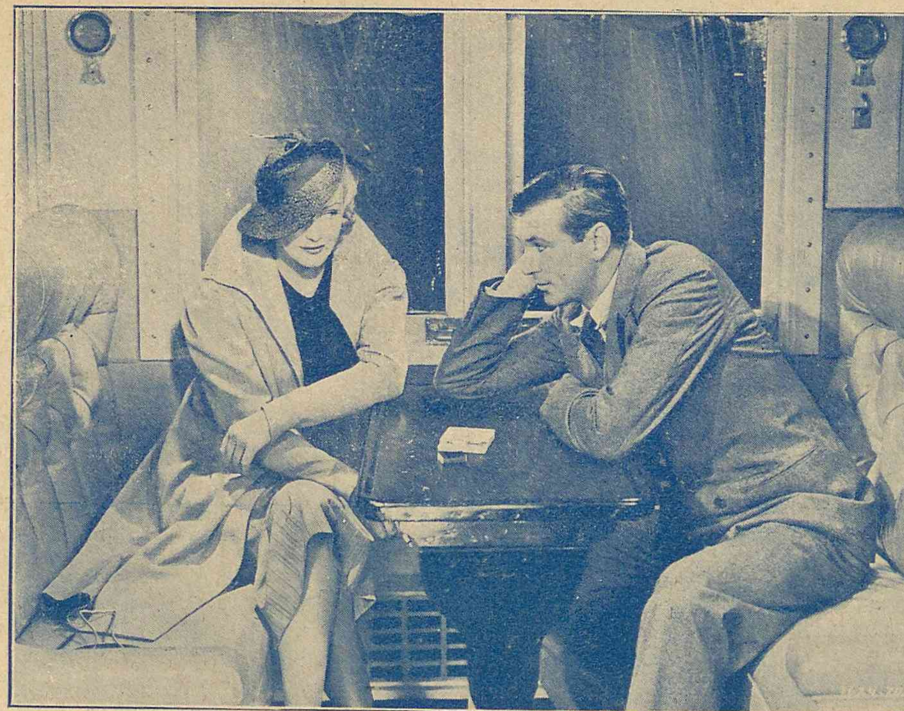
Gdyby pytano, co podobało mi się najwięcej z obecnego programu kina „Bałtyk", to na pierwszem miejscu postawiłbym istotnie piękny głos Lili Pons, na drugiem interesujący i ciekawy tytuł, na trzeciem... Nie, z trzeciem miejscem nie jest tak łatwo.

Głos Lili Pons jest rzeczywiście piękny. Czysty sopran koloraturowy ma miękki, miły dźwięk, wysoka kultura śpiewaczka, elastyczność i lekkość modulacji sprawiają, że słuchanie amerykańskiej gwiazdy stanowi prawdziwą przyjemność artystyczną. Niestety, inne walory tej inteligentnej aktorki nie odpowiadają poziomem jej zdolnościom wokalnym. Mała i niezbyt zgrabna, przy wyrazistej, lecz zniszczonej twarzy, Lili Pons raziła nas przedewszystkiem fatalnemi toaletami. Jej kostjumik i kapelusz są poprostu przerażające.

Partner znakomitej śpiewaczki, Henry Fonda, znany z filmu „W cieniu samotnej sosny" nie jest odpowiednio obsadzony. Jego rola ma zamało ruchu i dynamiki, a ekspresja i mimika jest zbyt prymitywna i sztuczna.

Zresztą, wbrew interesującemu tytułowi, w filmie nie dzieje się nic, coby nas przekonało o jakiejś „racji".

Scenarjusz, zbudowany dość chaotycznie, nie posiada linji wytycznej. Dostosowany do możliwości artystki, hojnie szafuje śpiewem, z wielką szkodą dla logiki wydarzeń i kinowości obrazu zaniedbując akcję. W filmie tym nie dzieje się wiele. Świetny pomysł mimowolnego małżeństwa, mimo, że nie jest nowy (analogiczną scenę widzieliśmy na tym samym ekranie w filmie „Głos serca", z Janet Gaynor i Robertem Taylorem) dawał świetne możliwości wyzyskania. Niestety sceny niewokalne potraktowano po macoszemu. Film traci na tem cały kręgosłup i cofa nas o kilka lat wstecz, do dźwiękowych dodatków krótkometrażowych.



Gary Cooper i Madaleine Carroll w jednej ze scen filmu reżyserii Lewisa Milestone p. t. „Żółty Skarb", który już wkrótce wyświetlany będzie w Warszawie.

Fot. Paramount

Szkoda, bo przy bardziej celowo opracowanym scenarjuszu i żywszej reżyserji można było stworzyć film ciekawy, a otrzymano dość luźno związane wysoce artystyczne fragmenty wokalne.

J.

Amerykańskie tempo

Fay Bainter, znana nowojorska artystka dramatyczna, ukaże się w filmie „Quality Sreet" obok Katarzyny Hepburn, w roli jej starszej siostry. W czwartek ubiegłego tygodnia, producent filmu, Pandro S. Berman, zatelefonował do centrali swojej w New Yorku. Potrzebna mu była doświadczona aktorka, o ustalonem nazwisku, do trudnej roli Zuzanny. Sprawa była pilna — nakręcanie zdjęć miało nastąpić już w najbliższy poniedziałek.

Wybór padł na Fay Bainter, która przez całą noc przygotowywała się do próby. W piątek po południu wykonane zostały pierwsze próbne zdjęcia, które — niewywołane, w zapieczętowanych pudłach — zostały niezwłocznie prze-

słane Pandro S. Bermanowi do Hollywoodu. W niedzielę, po przejrzeniu zdjęć, rzutki producent zaakceptował wybór centrali i już w poniedziałek Fay Bainter odleciała rannym samolotem do Hollywoodu, żeby rozpocząć karjerę filmową. Te cztery gorączkowe dni mogą być punktem zwrotnym w życiu wytrawnej artystki.

Czy wiecie że...

John Boles, który obok wielkich walorów aktorskich, rozporządza pięknym głosem, podpisał właśnie kontrakt z wytwórnią RKO. Wkrótce wytwórnia ta rozpocznie nakręcanie wielkiego filmu muzycznego, stworzonego jakby specjalnie dla wyzyskania wszystkich talentów tego artysty.

■

Złotowłosa Ginger Rogers coraz częściej zdradza swego stałego partnera Freda Astaire'a. Tym razem rywalizacja jest dla Freda groźna — chodzi bowiem o aktora, mogącego się poszczycić największą ilością wielbicielek — Charles'a Boyer. Ginger Rogers i Charles Boyer mają wystąpić w filmie p. t. „Perfect Harmony", którego scenarjusz został opracowany na podstawie powieści francuskiego pisarza Jacques Thiery.



Doskonały śpiewak operowy, Frank Forrest, zaangażowany został przez Paramount do szeregu filmów. Po raz pierwszy ukaże się w obrazie „Szampański Walc".

Fot. Paramount

■

Najnowszy film Caroli Lombard dla wytwórni Paramount nosić będzie tytuł „Paris Adventure". Reżyserować go będzie słynny reżyser, Wesley Ruggles. Partnerami Caroli będą: znany amant filmu amerykańskiego, Cary Grant, oraz komik Charles Ruggles, bohater filmu „Arcylokaj". Scenarjusz przygotowuje znany scenarzysta, Claude Binyon.

■

Natychmiast po ukończeniu pracy przy filmie Cecila B. de Mille'a, „The Plainsman", Jean Artur przystąpi do pracy nad filmem „Easy Living", w którym odtwarza postać młodej dziewczyny, marzącej o zdobyciu niezależnej pozycji w życiu. Scenarjusz przygotowuje słynna autorka, Vera Caspary.

■

Herbert Marshall, któremu w udziale przypadł oryginalny rekord — jako partnera największej ilości gwiazd, m. in. Grety Garbo i Normy Shearer, występuje w swoim ostatnim filmie p. t. „The Lady Consents" obok Ann Harding.

■

Do filmu „Dzikie ścieżki" (Two in Revolt) udało się wytresować „cudownego" konia i „cudownego" psa, którzy w filmie tym grają role główne. Rezultatem tej mozolnej tresury była wyjątkowo harmonijna współpraca zwierzęcych aktorów, bez najmniejszej zawiści i intryg — tak często cechujących współpracę ludzką.

Gary Cooper i George Raft w jednym filmie

Z Holywood donoszą, że Gary Cooper przystąpi do kręcenia filmu kolorowego w reżyserji twórcy „Bengali" i Petera Ibbetsona", Henry Hathawaya. Partnerem jego będzie dawno niewidziany u nas, George Raft. Film ten wykonany będzie w naturalnych kolorach i nazywać się będzie „Souls at Sea".



Interesująca fotografja znanej amerykańskiej aktorki scenicznej i filmowej, Julie Haydon.

Fot. Paramount

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa

P